

P I O N

Wydane z dubletów
Bibl. Publ. m. st. W-wy

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 16 LISTOPADA 1935 R. * NUMER 46 (111)

TREŚĆ: JÓZEF PIŁSUDSKI: O armji narodowej * B. SU-
CHODOLSKI: Siła zbrojna i siła kultury * K. IRZYKOWSKI:
Konkurs dramatyczny P.A.L. * J. E. SKIWSKI: „Zmory” trzeba
załatwić * S. ROGOŹ: Książki podróżnicze * SZTUKAIANTENA:
T. LOPALEWSKI: Stwórzmy ligę radjofonizacji kraju! —



S. PODHORSKA-OKOŁÓW: Teatr Wyobraźni bez wyobraź-
ni * R. W. HOROSZKIEWICZ: Zarys dziejów walk o nie-
podległość Polski * KAROL IRZYKOWSKI, Z. STAROWIEY-
SKA-MORSTIŃOWA: Teatr * J. PUCIATA-PAWŁOW-
SKA: Plastyka * W. BĄK: Przegląd prasy * Kronika.

O ARMJI NARODOWEJ

(Z PRZEMÓWIEŃ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO)



Pierwszy Marszałek Polski

zumienia prawdziwego żołnierza, tam żoł-
nierz znajdował przytułek, w tych niedo-
świadczonych młodych umysłach. Wszędzie
skądinąd pojęcie o żołnierzu zostało wyrzu-
cone tak gruntownie z pamięci i myśli pol-
skiej, że nie znam na całym świecie społe-
czeństwa, któreby tak cywilnym było, jak
społeczeństwo polskie. Wszystkie zajęcia
znajdują takich czy innych zwolenników, tyl-
ko żołnierza, a więc to, co czyni naród sil-
nym, tylko to wyrzucono z umysłów ludz-
kich i z tego uczyniono prawo wychowania
Polaków... Miljony ludzi poszło, żeby w wal-
kach zdobyć dla swojej ojczyzny i państwa
te rzeczy, które państwo i ojczyzna za slu-
sne dla siebie uznają. Ale Polaków zabrakło.
Był tylko młody żołnierz, stworzony
przez gorący zapal. Byłem z nim, przesze-
dłem tę tragedję żołnierza polskiego, który
bezkutecznie szukał ojczyzny. Byliśmy w
Karpatach, byliśmy w ziemi kieleckiej, lu-
belskiej i w innych częściach kraju, stopy
nasze deptały ziemię ojczystą, dokola słysze-
liśmy polską mowę, a jednak ojczyzny w ści-
śle tego słowa znaczeniu nie czuliśmy.
Trzeba widzieć to panowanie żołnierza nad
światem, trzeba widzieć tę okropność wojny,

trzeba widzieć te stopy trupów, zwaly ciała,
to rozpanoszenie się żołnierza we wszystkim
i trzeba widzieć te dumne czola i sztandary,
które przed żadną potęgą nie chcą się zni-
żyć, tylko przed potęgą ojczyzny, która mu
w każdej chwili posłuszeństwo nakazać jest
w stanie. Dlatego, kiedyś szedł, jak sierota-
żołnierz, szukając ojczyzny, zazdrościłem
państwowi niczego innego, nie tego przepy-
chu technicznego, nie tej olbrzymiej liczby
i siły, nie tych sztabów, zazdrościłem im je-
dnego, zazdrościłem woli narodu swego, któ-
ra im posłuszeństwo nakazuje, która stanowi
dumą żołnierza. Zazdrościłem im, że mieli
oni przed czem czola chylić. Tego wymaga
żołnierz nowoczesny. Żołnierz musi być po-
wszechny i musi mieć swój rząd, którego roz-
kazów słucha. Narodowa armja musi mieć
naród, który chce, ma wolę i musi mieć
żołnierza, wychodzącego z poboru powszech-
nego i mającego za sobą silny rząd.

Gdy o armji narodowej mówię wśród
Polaków, przychodzi mi zawsze na myśl je-
dna z cudownych scen w Weselu Wyspiań-
skiego. Czy panowie sobie przypominacie te-
go rozognionego poetę, murzącego o siłę, ma-
rzącego o potęgę, który w podnieceniu we-



Generalny Inspektor Sił Zbrojnych

Kształtowania armij narodowych w nowo-
czesnym tego słowa znaczeniu wieki daw-
niejsze nie znały. Armja narodowa w tem po-
jęciu, w jakim nowoczesny człowiek rozu-
mie, zrodziła się we Francji i Niemczech, w
warunkach, które przypominają te, w któ-
rych my się obecnie znajdujemy. Oto pod
najazdem pękła budowa wojska poprzednie-
go, oto Francja i Niemcy drżą pod stopą
najeźdźcy. Zdawało się, że wszystkie możli-
wości są przegrane. Naród czekał ostatecznej
kłęski. I oto cudem woli narodowej oba te
państwa tworzą nowe podstawy dla wojska
i wielkie armje narodowe, które przechodzą
przez cały świat, przykuwając do swoich
sztabów zwycięskich uwagę całego swia-
ta. Tam był naród, który chciał tworzyć, któ-
ry nie chciał ginąć, naród, który chciał być
zwycięzcą w tych ciężkich zapasach. I oto
Francja tworzy wielkie wojsko. Wielka ar-
mja francuska nie tylko zwycięża, wyrzuca z
granic nieprzyjaciela, ale przechodzi przez
całą Europę.

Niemcy zaś, zgniecieni przez Napoleona,
wykuwają w sobie wolę złamania nieprzyja-
ciela, zdobycia siły, któraby uczyniła naród
wolnym.

Nato, żeby armja była narodową, potrze-
bny jest naród, który ma wolę, umie chceć
i wolę swoją przeprowadzić. Armja narodo-
wa wymaga narodu, wymaga też żołnierza.
Żołnierz nowoczesny wychodzi z powszech-
nego poboru. Czy bogaty, czy biedny — każ-
dy musi spłacić dług ojczyźnie. Tak, jak
konieczną jest narodowi szkoła, tak samo
koniecznym jest przejście młodzieży przez
wojsko. Dopiero szkoła i wojsko czynią czło-
wieka dojrzałym, dają mu możność wykona-
nia wszystkich obowiązków obywatelskich.
Nowoczesne wojsko tworzone być może je-
dyńie na podstawie powszechnej służby woj-
skowej. Każdy musi być do tego pociągnię-
ty i tylko wówczas każda rodzina ma żołnie-
rza, każdy żołnierz ma rodzinę w ojczyźnie.

Drugim koniecznym warunkiem żołnie-
rza nowoczesnego jest istnienie swego wła-
snego rządu, który żołnierzowi dawać bę-
dzie rozkazy.

Odwołam się do moich wspomnień. Po-
kolenie dzisiejsze należy do tych, którzy są
pogrobowcami roku 1863. Żołnierz polski
znaleźć może przytułek tylko w umyśle i
sercu dziecięcym. Wtedy to, kiedy człowiek
miał lat pięć, sześć, kiedy nie dorósł do ro-



Przeгляд wojsk na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie w listopadzie 1918 r.

selnych nastrojów śni i widzi przed sobą tę
potęgę swojej ojczyzny, którą z upodlenia i
z upadku wyprowadza. I pamiętacie, pano-
wie, jak na te zaklęcia, co kto marzył, zja-
wiają się upiory, widma, z grobu powstające,
a wyobrażające to, o czem człowiek śnił. I
pamiętam zjawienie się zakutego rycerza w
zbroję, z pól grunwaldzkich powstałego, ma-
rzenie małego człowieka. I oto rycerz chwy-
ta jego za rękę i powiada: duszę daj, dam ci
siłę! A przerażony marzyciel gniew się w uści-
sku żelaznym dłoni istotnego rycerza. I pa-
mietają panowie, czem się kończy ta scena?
Poeta żąda otwarcia przyłbicy i znajduje za
przyłbicą to, co jest udziałem każdego żołnie-
rza — znajduje śmierć; i, przerażony okrop-
nym życiem żołnierza, pada zemdłony. Zaw-
sze tedy, kiedy mówię o armji narodowej pol-
skiej wśród Polaków, boję się tego wrażenia,
przeżycia tego, co przeszedłem, patrząc na
scenę Wyspiańskiego...

*

Zawód żołnierski — to praca w nienatu-
ralnych warunkach. Wytwarza on u żołnie-
rzy specjalny stosunek do zjawiska śmierci.
Umierają, co prawda, wszyscy ludzie. Ale
gdy żołnierz idzie na śmierć, to znaczy, że
śmierć bierze pod rękę i chodzi z nią po
polach bitewnych. Śmierć i poczucie śmierci
otaczają wciąż żołnierza. Śmierć jest dla nie-
go zjawiskiem stałym, codziennym. Nie wiem,
panowie, czy ci, którzy nigdy żołnierzami nie
byli, zdają sobie sprawę z tego, jak niełatwe
jest ciągle ze śmiercią obcowanie. To co-
dziennie, zgodne z obowiązkiem żołnierza
chodzenie na śmierć, ten wysiłek przywyk-
nięcia do niej, to bratanie się ze śmiercią wy-
cisła w duszy głębokie ślady, wywołuje zmi-
any w charakterze. Człowiek, który ma jutro
umrzeć, ma pewien specjalny stosunek do
rzeczy. Nie ceni pewnych wygód, bo jutro
wszystkie wygody mogą zniknąć. Nie ceni,
co prawda, wygód innych ludzi, lecz swoje
również ma za nic. W czasie długiego sty-
kania się i bratania się ze śmiercią wygo-
da staje się rzeczą taną, staje się rzeczą,
nad którą się łatwo przechodzi do porządku
dziennego. Życie dobrego żołnierza staje
się ciągłą i ustawiczną loteryją. Skutkiem te-
go jest lekceważenie przez niego spraw do-
brobytu materialnego w znacznie silniejszym
stopniu, niż to się spotyka w życiu innych
ludzi.

41003 Pp/626

Życie wojenne, życie w nienormalnych warunkach, żłobi jeszcze inną cechę w duszy żołnierza. Jest on mężczyzną, który pozostał gdzieś w dali życia rodzinnego. Radość i uśmiechy życia rodzinnego, radość i uśmiech dziecka tak go rozczulają, że wszystkim panom radziłbym wychodzić z zamąż za dobrego żołnierza, gdyż jest prawie pewne, że można nad nim panować jednym uśmiechem.

Wreszcie jeszcze jeden znamieny rys dobrego żołnierza. Spełnia on twardy obowiązek żołnierski, wykonywując pracę, nieraz bardzo mało znaczącą i podrzędną. Żąda jednak zawsze bardzo twardo szacunku dla siebie, szacunku dla swej pracy i szacunku dla swego dowódcy. Cechą wszystkich dobrych żołnierzy jest to, że swych wodzów, prowadzących ich do zwycięstwa, kochają i wymagają dla nich czci.

Proszę panów, ten typ dobrego żołnierza znajdziemy wszędzie, gdzie było wojsko i gdzie pod dobrym wodzem ruszało ono na zwycięstwa.

We Francji, w najwybitniejszej jej epoce, gdy żołnierze służyli pod największym wodzem świata, pod Napoleonem, powstaje typ wiarusa napoleońskiego. Lekkożylny on jest w życiu codziennym, nie dbający o pieniądze, przechodzący do porządku dziennego nad materialną stroną życia, wesół i swobodny, szukający szczęścia, szukający wrażeń, uprzyjemniających mu życie, zawsze gotów jednak stanąć odważnie i twardo w obronie swego honoru i w obronie swego cesarza, potem cicho konspiracyjnie, by swego wodza „z niewoli” wydobyć. Czy pamiętacie pieśń o dwóch grenadierach Heinego? Pieśń nie przez Francuza napisaną. Tem właśnie charakterystyczniejszą, że ten typ wiarusa napoleońskiego siłą swych rysów narzucał się i porządku pióra obcych. Dwaj grenadierzy powracają z niewoli i dowiadują się po drodze piorunującej wścieki — ich cesarz w niewoli. A jednak całe ich marzenie ześrodkowane jest w chęci ujrzania i oddania honorów temu, który ich prowadził do boju, — cesarzowi. Ten typ dobrego żołnierza, tego napoleońskiego wiarusa, tych oficerów, których setkami wyrzucono z królewskich wojsk po Restauracji, których trzymano pod dozorem policji, jako niebezpiecznych, utrwał się w literaturze francuskiej i znalazł swój wyraz w postaciach bohaterów licznych powieści.

U sąsiedniego narodu podobnie. Mamy tam epokę przewag wojennych, epokę Sedanu, epokę walk, rozbrzmiewających zwycięstwem Prus. I oto znajdziemy tam prawie ten sam typ dobrego żołnierza, z dodatkami rysów rasy niemieckiej. Typ surowszy, mniej kulturalny. Żołnierz ten zajmuje przeważnie skromne stanowisko w państwie, lecz surowi oczyma wymaga od swego pana szacunku dla siebie i dla krzyża, który nosi na piersi. Tak samo, jak wiarus napoleoński, jest czuły na wdzięki niewieście i czuły na uśmiechy dziecka. I znowu w niemieckiej literaturze spotyka się te typy, które zbratały się ze śmiercią, które śmierć nazywały siostką, z nią kładły się i wstawaly z łoża. To typy ludzi, którzy nie cenią wartości dobrobytu i majątku, ale dusze, wierne honorowi własnemu i honorowi swego wodza. Na takich podoficerach, pozostających nieraz na bardzo skromnych stanowiskach, budowana była siła i trwałość państwa niemieckiego.

Jeżeli przejdę do literatury rosyjskiej, to znajdziemy tam podobny typ dobrego żołnierza. Oswojony ze śmiercią, zbratany z nią, a zarazem lekkoduch, wlotyczny się po świecie, przepijający i przegrywający z lekkim sercem cały swój zółd, wymagający jednak szacunku dla siebie i dla cara, w imieniu którego walczył. Przypominam sobie jednego z pisarzy rosyjskich, Uspieńskiego, który z wielkim talentem nakreślił ten typ rosyjskiego wiarusa. Przez dwadzieścia pięć lat służył on w wojsku, walczył na wszystkich polach, pełni służbę wzorowo... i filozofuje. Bil nieprzyjaciół, to prawda, ale ci, z którymi walczył przez całe życie, to mimo wszystko poczciwe, zacne ludziska, i te Francuzi, i te Niemcy, i te Polaki, i te Turki, chociaż poganie. Tej względności wobec nieprzyjaciół nabył w obliczu śmierci.

A w dawnych powieściach polskich ileż to sylwetek dobrych żołnierzy! Wzorami dla autorów byli ludzie żywi, postacie, którym na klepsydrach wypisywano ongiś: „były oficer, czy podoficer byłych Wojsk Polskich”. Są oni trochę bardziej rzewni, bardziej sentymentalni, niż Francuzi czy Niemcy. To typy wiarusów, służących przy dworach i zaprawiających ręką młodego panicza do szabli, opowiadających niezwykle dzieje przygod wojennych, których byli uczestnikami. To typy starych ordynansów oficerskich, co wrócili z wojny razem ze swym panem, a i teraz służą mu wiernie. Służy, nie pozwalając jednak sobie lekceważyć, bo na ich piersiach krzyż zasługi. I oni, jak wszyscy dobrzy żołnierze, szukali szczęścia i uśmiechu życia, lekkożylnie lekceważyli dobrą materialną, a zachowali przez całe życie przywiązanie dla przyjaciół i naiwną wiarę

Don Kichota, rycerza, sprzeciwiającego się zepsuciu i lajdactwu.

Wszędzie, gdzie w długich wojnach i ciężkich trudach żołnierskich pracował człowiek, wszędzie daje on swemu narodowi nowy nabytek kulturalny. Typ człowieka, przechodzącego latwo nad materialnymi wartościami życia, przenoszącego ponad nie wartości moralne. Typ człowieka, łatwo znoszącego zmienność losu, byle mieć możność zachowania najlepszej części swej duszy — szacunku dla siebie i szacunku dla swego honoru. Uczciwa praca na najskromniejszych stanowiskach, stale poszukiwanie zgody ze swoim sumieniem, jest ich cechą, nabytą w codziennym braniu się ze śmiercią. Jak ongiś, na polach bitew, przelewali krew dla honoru swego sztandaru i na rozkaz swych wodzów, tak w pracy pokojowej zmieniają honor sztandaru na honor swej pracy, na ho-

SIŁA ZBROJNA I SIŁA KULTURY

„W wysiłku narodów oświata i kultura odgrywają rolę zawsze nie mniej ważną, a często ważniejszą od elementów materialnych”.

Z przemówienia ministra E. Kwiatkowskiego w Radjo 15.X.1935.

Między Rosją i Niemcami leżą granice naszego kraju. Od wieków toczyła Polska, w czasach wojny i pokoju, tę samą trudną walkę o istnienie. Zginęła przez słabość swego oręża, odzyskała niepodległość haratem Wodza i żołnierzy. Ale trwała siła państwa jest nie tylko armia. Jest nią i kultura. Może nigdy dotychczas ta prawda nie była tak widoczna, jak dziś. Żyjemy bowiem w epoce wielkich prób przebudowy i organizowania kultury narodów. Mobilizacja przestaje być sprawą rekruta. Staje się mobilizacją całego narodu i całej kultury. W napięciu woli i entuzjazmu dźwigają się nasi sąsiedzi do wielkich przeznaczeń dziejowych. W ofiarach, pomyłkach, zwycięstwach tworzą nową kulturę od podstaw, od samej gleby przeoranej. Dokonywa się wielkie przebudzenie mas. Zwierają się rozchylone dotychczas szeroko nożyce poziomów kulturalnych: drobnej elity mieszczańsko-inteligentnej i milionów ludu. W namiętnej krytyce kultury dawnej, książkowej i zakłamannej, w wyrzekaniu się części jej dorobku, mającym coś z gwałtowności barbarzyństwa, szuka się nowej kultury, która mogła iść z życiem, a nie przeciw życiu, która mogłaby być rozumiana i potwierdzana w każdej chwili dnia przez każdego człowieka, która mogła być kształtem jego codziennego trudu i jego prawdziwie pożądanym ideałem, a nie obcą, narzuconą siłą zewnętrznych pozorów i złudnych wartości, wyrwających jednostkę z środowiska i obowiązku, degeneracją piękno duchów i intelektualistów.

Wielkie rzeczy dzieją się na świecie. Żyjemy w epoce przemian, w czasach, w których z chaosu rodzi się nowy ład, nowe widzenie prawdy, nowe ujęcie stosunku jednostki do zbiorowości, nowe określenie zadań polityki i gospodarki. W zmaganiach między państwami rozstrzyga nie tylko siła zbrojna, ale również i siła dążenia w przyszłość, zdolność wydobycia się z chaosu, umiejtność nadania kształtu życiu.

Pozycja Polski w tych zmaganiach jest mocna, dzięki armii, która jest naszą największą siłą. Ale czy na tym samym poziomie sprawności i gotowości jest nasza kultura? Czy możemy wytrzymać ciężar tych zadań, które wespół z Europą dźwignąć musimy? Czy dostateczną siłą duchową możemy przeciwstawić naporowi obcej fali cywilizacyjnej? Czy potrafimy przygotować młodzież tak, aby umiała przeżyć ciemność i kształtować odpowiedzialnie polską przyszłość? Na te pytania nie można odpowiedzieć dumnie i silnie: jesteśmy gotowi!

O siłę kultury narodu — podobnie jak o każdej innej siłę — świadczy przedewszystkiem odwaga. Odwaga, która jest wyrazem poczucia wartości i obowiązku, objawem wiary w przyszłość, woli dążenia ku czemuś. Kultura rozrasta się i utrwała wysiłkiem, ryzykiem, bohaterstwem. W dążeniu do nowych kształtów życia przełamywać musi opory i porzucać bezpieczne schrony. Tak powstawało i gruntowało się każde nowe widzenie piękna, tak torowała sobie drogę wśród przyzwyczajoną każdą nową prawdą, podobnie zwyciężał, przez ofiarę, każdy nowy obowiązek. W dosyć, w zadowoleniu, w malostkowosci, w lekkim trzymaniu się tradycji zamiera kultura, stając się pozorem, ozdoba, obłudą. Tę odwagę dążenia w przyszłość, ten odświeżający powiew tworzenia, nieliczącego się ze zmęczeniem lub klęską, wytrwałą wolę budowania nowej kultury widzimy dziś w wielu państwach Europy.

Ale my, sceptycznie mądrzy, patrzmy na te wielkie dzieła życia narodów, jak na interesujące eksperymenty i gotowi jesteśmy przyznać rację temu, komu ją ofiaruje przy-

nor swej nowej służby, dla której wymagają szacunku, jako dla części głównej siebie samych. Szukają przytem radości życia, uśmiechu szczęścia, do którego tęsknili tak długo w pracy wojennej, w robocie bitewnej.

Legiony stworzyły w Polsce, odrodziły na nowo typ dobrego żołnierza. Ta zdobycz może w przyszłej historii stanowić bądzie więcej, niż te czy inne przewagi w tych czy innych bojach. Potrafiliśmy swoim wysiłkiem, swoim sercem, swoją wielką pracą i wolą dać Polsce nowy kulturalny nabytek — dać typ dobrego żołnierza polskiego. Powstawał jakby z mogiły dawny typ żołnierza powstańca, przymierającego głodem czasem, wędrującego borem, lasem, po ziemi ojczyzny. Zapomniane, odpędzone, nieraz upiorne widmo lat ubiegłych naprzekór światu, naprzekór swoim, żyło, żyć pragnęło, życie dając Polsce.

szłość. Stara historia wygodnictwa, niepewności, wyczekiwania. Tę historję Słowacki, nieublagany sędzia polskiej słabości, ukazał w *Anhellim*, w obrazie krzyżowej śmierci trzech ofiarników, którzy mieli tłumom zaświadczyć o prawdziwie jednego ze stronniw. Ale tym cudzym kosztem nie dochodzi się do prawdy. Zdobywa się ją na własnych drogach, własną krwią. Nie zdobywamy jej dziś w ten sposób. Żyjemy w zaciśnięciu. Bez wielkiego planu, rzutowanego w przyszłość i rzeczywistego w każdym tętnie biciającego działania, w drobnych troskach, niespokojnych w całość powszechnego obowiązku, w codziennym spychaniu roboty i szarej łanianie, w półśrodkach i ćwierćśposobach zagłusza się wszystko, co wielkie i twórcze w kulturze. Pragniemy uniknąć wielkich decyzji i ciężaru odpowiedzialności za wielkie czyny. Ale zapominamy, iż istnieje również odpowiedzialność za lenistwo, surowa, hanbiąca kara za winę zaniedbań i tchórzostwa.

Drugą oznaką siły kultury jest jej jednolitość. Najgłębszą i najbardziej twórczą potrzebą życia ludzkiego — a może nawet jakiegoś prawa wszechświata — przejawia się w tem poszukiwaniu ładu, przewycięzaniu chaosu, osiąganiu jednolitości, wiazaniu rozbieżnych tendencyj, zespalaniu rozproszonego usiłowań. Tęsknota do kształtu i stwarzanie stylu są miarą żywotności i mocy, wiary w siebie i w przyszłość. Wielkie epoki kultury żyły zawsze w tej jednolitej atmosferze. Piętno tego samego ducha było wycięznięte na każdej dziedzinie i na wszelkich czynnościach. Dzięki temu staje się możliwe porozumienie się wszystkich ze wszystkimi: różnych warstw społecznych, różnych specjalności, różnych dziedzin. Kultura, która traci jedność stylową, ulega rozkładowi i osłabieniu, podobnie jak jednostka, która nie umie osiągnąć własnego ładu wewnętrznego, podobnie jak dzieło artysty, które nie posiada swoistej harmonji. Powstaje bezład. Ludzie przestają się rozumieć: laik nie pojmuje, do czego dąży uczony, artysta patrzy z pogardą na przemysłowca, mieszcuch lituje się nad człowiekiem wsi. W zamkniętych ośrodkach, odrębnych specjalnościach i punktach widzenia, w przeciwstawnych interesach ginie wspólna więź i odczucie jednakość dla wszystkich sensu życia.

Kultura Europy XX stulecia chorowała na ten bezład stylowy. Nasze czasy dążą coraz wyraźniej do stworzenia jakiegś nowej jednolitości. Dążenie to wydaje się nam często barbarzyństwem, niweczącym brutalnie autonomię jednostek lub dziedzin twórczości, naginającym dyktatorsko i mechanicznie bogatą różnorodność życia do jednolitego szablonu. Być może, czasem słuszne są te wrażenia. W wielu wszakże wypadkach należy widzieć raczej pozytywne niż negatywne strony tego procesu, który w gruncie rzeczy jest szukaniem jednolitości, stwarzaniem stylu, przewycięzaniem chaosu i specjalizacji. Jest w tych usiłowaniach — nawet w błędach i w pomyłkach — tęsknota ku takiej kulturze, która byłaby czemś wspólnem, która byłaby jednoczną i wiazalą. Jest pragnienie zerwania więzła epoki, w której nie istniała właściwie żadna „kultura”, bo człowiek był zawsze i tylko hąłd uczony, hąłd artystą, hąłd politykiem, hąłd przemysłowcem, hąłd robotnikiem. Szukanie jednakiej miary, wspólnego obowiązku, powszechnego ideału, bez względu na różnorodność pozycji materialnej i społecznej, bez względu na różnorodność zawodu i wykształcenia, jest niewątpliwie wartościową tendencją. Ta tęsknota do wspólnej, jednoczącej miary pozwala zrozumieć zjawiska tak różne, jak, znamieny dla naszych czasów, zwrot do średniowiecza, lub wychowawczą ideologję hitleryzmu.

Tę jednolitość stylu brak współczesnej kultury polskiej. Jest ona niespokojną i rozbieżną różnorodnością. Wprawdzie w ciągu lat, jakie minęły od chwili powstania państwa, uczyniono wiele dla osiągnięcia jednolitości, zrazu w zakresie unifikacji

dzielnicowej, a następnie dla zespolenia politycznego, ale w dziedzinie kultury wyniki te, mierzone skalą europejską, okazują się bardzo skromne. Jak niegdyś w życiu politycznym, podobnie dziś w życiu kulturalnym, Polska nie jest tą pospolitą rzeczą, która by pobudzała i jednoczyła starania i troski ohywatei, bez względu na stanowisko, zawód, wykształcenie, wiek i majątek. Każdy idzie swoją drogą, podejmuje pracę na własną rękę. Nie słyszymy w sobie tego głosu epoki, który by w milionach serc polskich budził to samo echo, był głosem życia i drogi w przyszłość. Nie widzimy wokół siebie niemylnych znaków przynależności każdego dzieła i każdego wysiłku do tej samej tworzonej rzeczywistości. Polityk nie rozumie wychowawcy, wychowawca pragnie w zaciśnięciu i samodzielnie kształtować młodzież, dla młodzieży zaś szkoła jest duchowo obca; sztuka nie nawiązuje łączności z wielkimi zdarzeniami epoki, uczony nie uzyskuje zrozumienia dla swej pracy; zgębiona kryzysem, izolowana od reszty świata, wieś nie znajduje wspólnego języka z miastem; przeciwstawiają się często sobie nawzajem władza i inicjatywa społeczna, niespokojna wspólnota zadań, nie mogą się pogodzić ekonomiści ze społecznikami, oświatowcy z kierownikami życia gospodarczego. W domowych oplotkach różnych stanowisk i zajęć, w wygodniczym kulcie neutralności lub autonomji, w przesadnych ambicjach władczych poszczególnych grup lub pewnych punktów widzenia, rwie się wspólna więź obowiązku powszechnych świadczeń dla Polski, zanika możliwość jednoczącego ujęcia kultury, zespolenia jej różnych dróg jednakością celów, zamiarów, motywów.

Trzecim świadectwem siły kultury jest wielkość jej zasięgu społecznego. Szczególnie w ustroju demokratycznym, równającym prawa wszystkich warstw, ważną rolę w kulturze, by kultura była dobrem powszechnem, a nie przywilejem szubłej elity. Epoka mieszczańsko-inteligentcka wyznawała, odziedziczona po arystokracji, mniemanie, iż przywilej wytwarzania kultury należy do t. zw. wyższych warstw i do nich również należy wyższość obowiązek oddziaływania tą kulturą małych, ciemniejszych, uboższych. Dopiero dziś rozumiemy, ile fałszywej jednostronności było w takim pojmaniu rzeczy. Dopiero dziś rozumiemy, iż kultura nie jest wyłącznym dorobkiem wyspecjalizowanych intelektualistów, artystów i urzędników, ale rodzi się równowartościowo w wielu różnych ośrodkach. Dopiero dziś zaczynamy ją widzieć i oceniać nie tylko w osiągnięciach talentu, którym obdarzeni są nieliczni, i nie tylko w życiu „kulturalnym” salonów, które jest dla uprzywilejowanych, ale w stylu codziennego życia, w pracy, w postawie wobec bliźnich, w pełnieniu obowiązku, w stosunku do siebie samego, do Boga, do przyrody — a więc w tej całej sferze konkretno-życiowej, która dostępna jest każdemu człowiekowi. Świat poczyna cenić i budować taką kulturę, która mogłaby być kształtem powszechnego życia.

Jesteśmy i pod tym względem zdystansowani. Zbyt wyłącznie ujmujemy kulturę w kategorii specjalności i zbyt jednostronnie patrzymy na nią ze stanowiska wielkomiejskiego. Wielki problem naszego życia i naszej przyszłości: wytwarzanie kultury przez warstwę ludową ukazuje się nam dopiero w odosobnionych poczynaniach. A gdy sąsiedzi nasi tworzą nową kulturę, wierną ziemi i głosowi krwi, zespoloną z doświadczeniami mas, dźwigającą je pocuciem odpowiedzialności i uznaniem ich zadań, my żyjemy łatwo w atmosferze dawnych złudzeń, iż kilka teatrów, trochę odczytów, parę wystaw, nowości wydawnicze i polemiki krytyczne utrzymują w żywotności i sile kulturę 30-miljonowego narodu. I gdy na świecie zagadnieniem kultury staje się coraz bardziej problemem stylu konkretnego życia milionów, u nas, po staremu, jest ono kwestją czysto „duchowych” procesów, zachodzących w kilkutysięcznej „elicie”.

Ta słabość naszej kultury przejawia się w szkole, najczulszym zwierciadle duchowej siły narodu. Jaką siłą cywilizacyjną reprezentuje dzisiejsze szkolnictwo polskie? Czem jest dla państwowej przyszłości? Jak dźwiga i zespała ohywatei? Niepokojące są odpowiedzi na te pytania. Szkolnictwo nasze walczy z trudnościami finansowemi. Przepelnione izby szkolne nie mogą pomieścić dzieci, które powinny się uczyć. W 1925/6 roku w 27599 szkołach powszechnych miało się kształcić 3.729.000 dzieci, w roku 1934/5 27.786 szkół powszechnych powinno dać oświatę 5.060.000 dzieci. Pracowane nauczycielstwo nie może podoląć obowiązkowi. Od trzech lat liczba etatów nauczycielskich zatrzymała się na tym samym poziomie 66.500, niższym o półtora tysiąca od maximum osiągniętego w latach 1930/1932, mimo, iż liczba uczniów znacznie wzrosła. Wymagania higieny i dydaktyki milkną wobec grozy analfabetyzmu. Należy w całej pełni znać wysiłek ministerstwa oświaty, które mimo redukcji budżetu o jedną trzecią (wydatki państwa i samorządu na oświatę wynosiły w roku 1929/30 — 626 milionów, w roku 1934/5 — 411 miljo-

nów) potrafiło utrzymać szkolnictwo na tym samym mniej więcej poziomie liczebno-wym szkół i etatów, ale ze stanowiska kultury całego państwa obecny stan rzeczy jest wysoce niepokojący. Szczególnie dotkliwy jest on dla wsi, która ma coraz gorszą, a coraz bardziej kryzysową szkołę. Drogi zaś wsi do wyższych szczebli oświaty są coraz trudniej dostępne. Statystyki ukazują malejący wciąż procent dzieci wiejskich w szkołach średnich, zawodowych i wyższych. W tych warunkach zapanowuje w szkole zasada, aby tylko przetrwać, aby tylko obsłużyć napływającą działwę. O wielkim planie wychowawczym, o dźwiganiu mas, o uczestnictwie w budowie nowej kultury polskiej od ziemi, szkoła dzisiaj może tylko marzyć.

Ten kryzys materialny pogłębia się przez słabość ideową. Szkoła polska — trzeba to jasno powiedzieć — nie posiada wewnętrznego światła, twórczego zapału, kierunku, kierunkowości działania. Może najskrajiej przejawia się to w szkolnictwie średnim, mimo, iż w porównaniu ze szkolnictwem powszechnym kryzys dotknął je znacznie łagodniej. Niewątpliwie pracujemy sumiennie, wytrwale, odpowiedzialnie. Realizujemy programy, przeprowadzamy egzaminy, uczestniczymy w konferencjach i kursach, dyskutujemy w ogniskach. Ale naprawdę — czuje to każdy w głębi duszy — nie ptonie żadne wielkie ognisko. Gdzie nasza wiara w polsłannictwo? Gdzie zapał kształtowania własnym przykładem młodych dusz? Ku czemu prowadzimy? Z jakim słowem dzisiejszym idziemy do młodzieży? Wydawało się, iż rzucane przez ś. p. ministra Czerwińskiego hasło wychowania państwowego przewycięży tę atmosferę bezwładu. Ale lata, które od tego czasu minęły, przekonywują, iż idea ta została „strawiona” przez szkoły. W przesadnym krytycyzmie jednych, w banalności interpretacyjnej innych, zagubił się jej żywoty, porywający sens. Straciła ona moc zapładniającą, nie rozrosła się, nie nasycała bujną treścią zmieniającej się rzeczywistości polskiej, nie zespilała młodzieży i nauczycielstwa wspólnotą zapału i dążenia. I mimo, iż tę właśnie ideę należało odradzać, pogłębiać i krzawić, podzielono — jakgdyby już wszystko w tej dziedzinie zostało osiągnięte — by osłabiło zrozumienie jej doniosłości, by zsunęła się ona na plan dalszy i ustąpiła miejsca nowszym, modniejszym hasłom aktualizacji.

Ale ktoś może się ludzić, iż z tego duchowego zastoi wyratuje szkołę hasło aktualizacji? Aby nawiązywać do dzisiejszości, trzeba wierzyć w przyszłość, trzeba jakiejś przyszłości chcieć, jakąś widzieć w marzeniu i jakąś stwarzać w napięciu woli. Inaczej ta dzisiejszość, o której nieporadnym słowem opowiadamy, staje się przemijającym chaosem, który ani kształci, ani porywa. Łudzi się siebie i młodzież taką aktualizacją. Nie dopowiadamy najważniejszych słów. Spróbujmy uczucie, do końca, zaktualizować sprawę społeczną *Nichoskiej Komedii* lub *Ludzi bezdomnych!* Czy będziemy zachęcać młodzież, by była Judymem? A jeśli nie, co powiemy jej o tem, jak rozwiązany być może ten realny problem, który Judym romantyzował? Czy powołamy się na wizję krzyża, łamiącego Pankracego?

Opowiadamy w szkole powiastki, zawierające piękne wskazania, deklamujemy o wielkości moralnej, o obowiązku patriotycznym, ale unikamy rozmowy o tem, jaką ma być konkretnie droga nasza i droga młodzieży przez chaos dzisiejszy w przyszłość. Umiemy pięknie uczyć o tem, co „mówią wieki”, ale gdzieś dochodzi w szkole naprawdę do głosu wiek dzisiejszy, gdzieś się ukazuje przyszłość, ku której wyciągają się w poszukiwaniu ręce młodzieży? Zapewne ważne to są sprawy: zasługi Kochanowskiego dla polskiej poezji, historia Śląska, powinowactwo chemiczne, wykres funkcji matematycznej i wiele innych rzeczy, ale niesposób tego nie widzieć, iż młodzież przestaje nas darzyć zaufaniem, iż od nas odchodzi, iż szuka czegoś na własną rękę, iż wytwarza jakiegś nowego kryterja wartości. Niesposób nie dostrzeć, iż problem wykształcenia musi być dziś przemysłany zupełnie na nowo, krytycznie i śmiało. Inaczej nie rozważymy nigdy zagadnienia przeladowanych programów szkolnych, nie przełamamy nigdy ich martwicy, stojącej się, dzięki dydaktycznym sztuczkom, w złudne kolory życia.

Dokonywając tego obrachunku cywilizacyjnego i zestawiając jego wyniki z osiągnięciami naszych sąsiadów, widzimy jasno naszą słabość i wielkość zadań, stojących przed nami. Ale tego widoku radziłyśmy uniknąć. Jak niegdyś, wobec narodów organizujących swą siłę fizyczną, szczyciliśmy się niefrasobliwą ufnością w rycerską moc szlachty, podobnie i dziś, wobec wielkiego wysiłku tworzenia kultury, potężnej i nowej, poza granicami naszego państwa, zachowujemy optymistyczny spokój lenistwa. Sądziłyśmy kiedyś, iż nie trzeba się troszczyć o budżet wojskowy, o regularną i wycwiczoną armię, o zamki obronne, bo — skoro chwila niebezpieczeństwa nadejdzie — własnymi pierściami brać szlachecka osłoni matkę ojczyznę. Upadek państwa, klęska niewoli, a

wreszcie twardy wysiłek Marszałka wyleczyły nas z tego sposobu myślenia o sile zbrojnej państwa. Dziś wiemy, co to jest wojsko. Ale nie rozumiemy wciąż jeszcze, czym jest najbardziej nowoczesna potęga narodu, ta, która się rodzi z żywej i przężnej, zespolonej wewnętrznie, powszechnej kultury. Wśród potężniejszych duchowo sąsiadów szcycimy się, podobnie jak przed wiekami, naszą swobodą, która nie odróżnia wolności twórczej od wolności pasorzytniczej. Z uśmiechem wyższości patrzymy na wielkie ruchy kulturalne mas, ponieważ jesteśmy „arystokratami ducha”. Z niechęcią mówimy o organizacji kultury, ponieważ jesteśmy „indywidualistami”. Łudzimy się chętnie, że w tej atmosferze nieszpólnych wysiłków i prywatnych widzimisię bronimy jakichś wielkich i zapoznowanych dziś w świecie

idealów, podobnie jak niegdyś szczytną ideą wolności człowieka broniły rzesze szlacheckie ustroju, który dawał przywileje, a nie wymagał poświęceń.

Ten bezwład musi być przewyciężony. Mówi się często o idei legionowej w życiu Polski dzisiejszej, ale nazbyt łatwo zapomina się o tem, że idea ta jest zaprzeczeniem kultu zacisza, że wierność wobec niej wymaga porzucenia polityki przeciekawiania, że wzywa do wyjścia przed próg domu, w pole, po trud, po odpowiedzialność, po zwycięstwo. Wezwanie to musi znaleźć echo w budowaniu kultury w Polsce. Musimy zobaczyć to zadanie w wielkich zarysach dziejowej odpowiedzialności za los państwa. Musimy umieć określić drogi i metody działania. Musimy ustalić hierarchję ważności potrzeb.

BOGDAN SUCHODOLSKI

KONKURS DRAMATYCZNY P.A.L.

Polska Akademia Literatury ogłosiła już swój sąd o nadesłanych na jej konkurs dramatyczny 285 sztukach (w *Pionie* nr. 107). Sąd urzędowy i suchy jak tabela loterii państwowej i tylko o wiele krótszy. „Wyszęd” Ostrowski (druga nagroda) i „Wyszęd” Jasnorska (trzecia nagroda), pozatem nawet nikogo nie wyróżniono. Dyrektor Szyfman mógł sobie coppersawa zanotować tę lub ową sztukę do ewentualnego zagrania, zapewne z tych 15, które zakwalifikowano do wspólnego czytania. Ale o tem komunikat milczy.

Ale nawet laureaci zostali upokorzeni, tak samo jak reszta konkurentów. Albowiem pierwszej nagrody nikt nie dostał, tak słaby był poziom ogólny — według jednomyślnego zdania 11 mężów i 1 kobiety, tworzących jury. Przeciw temu niema żadnego weta. Tak lichy jest poziom polskiej twórczości dramatycznej, — z wyjątkiem oczywiście tych, którzy sami zasiadali w jury, lub tych — a takich było wielu — którzy uważali za niegodne siebie mieszać się w tłum bezimiennych konkursowiczów, czyli — poprostu się bali, że mogliby wyjść z kwitkiem. Że zaś jury miało dobronę nosa — ktoś to niedawno sławił kult nosa — dowód w tem, że jednak nagrody przypadły nie jakimś outsiderom, nowicjuszom, lecz autorom już renomowanym.

Pierwszy zarzut, jaki stawiam sądowi konkursowemu, jest ten, że nie przyznano nagrody pierwszej. Zdarza się to coraz częściej. Niedawno na konkursie *Światowida* na scenariusz filmowy stało się to samo. Osadzono pierwszą nagrodę na niedostępnym cokole, aby tylko zdaleka imponowała i świeciła, i dawała świadectwo o wielkim ideale, który żywił w swych piersiach jurorzy. Nagroda pierwsza i w konkursie dramatycznym P. A. L. pozostała dziewicą, zato odstęp między elitą jurorów a tłumem producentów jeszcze bardziej się pogłębił.

Tem bardziej jednak potrzebna była rzecz, którą obejmują drugim zarzutem. Trzeba było swój wyrok szerszej uzasadnić. Zresztą nie tylko dlatego. Także dlatego, że to był pierwszy konkurs, ogłoszony właśnie przez Akademię Literatury, powołaną do opieki nad piśmiennictwem pięknym. Jeżeli takie konkursy ogłaszały dotąd instytucje takie jak magistraty, teatry, towarzystwo krajoznawcze, Kasa Literacka, redakcje czasopism lub osoby prywatne (Paderewski), wtedy może wystarczył sąd głosowy. Uzasadnianie sądu mogłoby się było wydawać zainteresowanym nawet obraźliwą usurpacją, jakkolwiek wydarzało się, że dodawano do orzeczenia obszerniejszy referat (konkurs wydziału krajowego w dawnej Galicji) i nikt się temu nie dziwił, choć przeciw treści samej mogły się podnosić zarzuty. Cóż dopiero Akademia Literatury!

Przecież 285 utworów to nie bagatela, to jest plon zbiorowej polskiej świadomości dramatycznej. Przypuśćmy, że genjusze, że 10 największych talentów trzymało się od konkursu zdaleka — zapewne woleli złożyć dyrekcji swe sztuki imienne i zapewne niebawem te genialności zobaczymy, ale reszta reprezentuje bądź co bądź — powiedzmy — 50 proc. owej świadomości. Czy jury, złożone z kilku członków Akademii i kilku znawców z poza niej, miało prawo uważać siebie tylko za mechaniczne, absolutnie pewne sito a nie sięgać już dalej? Przekonanie, że zadaniem sądów konkursowych jest tylko wylawiać grube ryby talentów a resztę jako plotki wrzucać pogardliwie napowrót do wody, jest powszechne w trwającej dziś epoce talentyzmu; tak dalece, że czytelnik, który niniejsze słowa czyta, z pewnością również zżyma się i pyta ze zdziwieniem, czego właściwie chce.

Otóż tego, że ponieważ zaczęła się tymczasem epoka socjologii i socjologicznego oddziaływania na ludzi zapomocą różnych urzędów, instytucyj a nawet aż ustrojów, — więc także drobna sprawa takiego konkursu należy ująć w innem świetle.

Nasza literatura powieściowa jest bardzo dobra i bujna, liryczną uważają niektórzy za świetną; bądźco bądź w obydwu tych dzia-

łach wre robota, wysiłki sumują się i rozwijają, a obok twórczości idzie różnym krokiem teoria, ponieważ twórcy sami starają się określać cele już zdobyte i cele zdobyć się mające. Natomiast w dziale dramatu nie takiego nie widać. Nawet zarozumiała Awan-garda nie zachodzi na to pole, z wyjątkiem słabych prób Czyżewskiego i Peipera; próby Witkiewicza pozostały izolowane i wpływu nie wywarły ani nikogo do kontynuacji nie zachęciły. Z wpływów zagranicznych jeszcze jako tako oddziaływa przykład Shawa, oraz rosyjska i niemiecka technika montażowa; w zakresie tematyki najruchliwsze są jeszcze kobiety, które naiwnie „poruszają problemy” głównie feministyczne. Na tem koniec, pozatem są stali dostawcy sztuk normalnych, Szaniawski, Kiedrzyński, Grubiński itd., chodzący luzem. Ile razy przychodzi mi w *Roczniku Literackim* zdać sprawę z rocznego dorobku dramaturgii polskiej, staje bezradny wobec niepokojącej nawet ilości kupki luźnych poczynani, kupki, której nie da się uporządkować w żadne organiczne grupy, tak że każdą sztukę trzeba traktować odrębnie. Nie żeby był taki bujny urodzaj na indywidualności, lecz że na gruncie zapuszczonym zasiewają się rośliny wszelakich pochodzeń.

Zły stan dramaturgii w Polsce, pomimo sporadycznych dzieł cennych, jest znany od dawna i zastanawiano się nad nim nieraz¹. Oprócz różnych przyczyn społecznych i kulturalnych tego zjawiska, których tu roztrząsać nie chcę, wydaje mi się dzisiaj dość ważną jedną bardzo prozaiczną: autorowi nie opłaca się pisać sztuki na los szczęścia. Gdy napisze powieść lub wiersz, łatwiej mu ten towar jakoś ulokować, choćby za darmo, a sztuce? — chyba że własny teatr założy. Teatrów jest w Polsce sporo, ale — stoją przeważnie aktorem (i reżyserem), a nie autorem. Do tego dołącza się osobliwy brak zamiłowania do spraw techniki dramatu: gdy w liryce mamy zatrzęsienie debat nad techniką wiersza, gdy nawet już i nad techniką powieści zaczyna się coraz więcej zastanawiać, technika dramatu, dla Niemców zawsze tak pociągająca, nie budzi zainteresowania.

Badanie sztuk nadesłanych na konkurs Akademii mogło bliżej oświetlić ten stan rzeczy. Można było na przykładach, np. 15 sztuk, przeznaczonych do wspólnego czytania, wykazać, w czem one nie dogadzają, zanalizować ich słabą budowę, czy słaby dialog, czy niedomagania w treści. Odrzuć autorzy mieliby przynajmniej to zadośćuczynienie, że się nimi na serjo zajmowano. Ten i ów zaczęły się klócić, dzienniki i literaci nieprzychylni Akademii mieliby t. zw. żer — naturalnie! — ale byłoby w tem jakieś życie. Albo można było to sprawozdanie publiczne potraktować bardziej statystycznie: podzielić materiał np. na poematy pisane wierszem patetycznym i na sztuki prozą, tyle a tyle jest wspaniałoznaczny, tyle a tyle z epoki Rittnera czy Zapolskiej, tyle jest nowoczesnego reportażu i „faktomontażu”², tyle a tyle komedyj i fars normalnych, tyle zaś fars, które przechodzą w groteskę, bo i ten gatunek został o-władniony kryzysem, tyle a tyle wreszcie naśladowictw Witkiewicza. A co dopiero gdyby nadesłane utwory badać co do treści, jak w pryzmatach wyobraźni dramatycznej różnych ludzi przełamują się ich wiedza o kryzysie społecznym i kulturalnym, ich wiedza o Bogu, o miłości, o przyjaźni i t. d. I z pewnością natrafionoby na kompleksy kilkanaście razy opracowane. Takie zestawienia mogły być przecież interesujące i

¹ Była np. specjalna ankieta w warszawskim *Świecie* w r. 1923. Por. w moim *Słowniku wśród porcelany* rozdział p. t. Uwagi o t. zw. upadku twórczości dramatycznej w Polsce. Por. też wstępne uwagi Ponirowskiego w jego *Literaturze* do rozdziału o dramacie powojennym.

² Przesilenie i chaos w nowoczesnej dramaturgii wskutek nowych sposobów, jakoteż wskutek oddziaływania techniki filmowej, nie ulegają wątpliwości.

charakterystyczne dla kotłowania pojęć i bezpój — w naszej współczesnej świadomości dramaturgicznej.

Oczywiście można stanąć całkowicie na stanowisku sita i powiedzieć, że 270 sztuk różnych partaczy, grafomanów i grafomanek to nie żadna „świadomość dramaturgiczna”, to nawet nie żaden przekrój, bo w sprawach sztuki niema „przeciętnej”, czy „średniej”, liczą się tylko szczyty. Znam dobrze to stanowisko i być może, że gdybym był sam należał do jury, choćby dla wygody poprzestaliśmy na niem. Bo rzeczywicie elaborat, którego plan tutaj naszkicowałem, wymagałby wielkiej i jednolitej pracy, a członkowie Akademii wcale nie są tak dobrze płatni, żeby odkładać swoje zarobkowe zajęcia i poświęcić się pracy o użyteczności tak jeszcze spornej. Ale ponieważ na szczęście do jury nie należałem, mam wolne ręce i mogę śmiało postawić zasadę inną od zasady sita i elity. Moją zasadą mógłbym określić jako teatralną, ponieważ z konkursu robi widowisko, nietylko dla bezpośrednio zainteresowanych autorów lecz dla całego świata literackiego, pedagogium literackie godne takiej instytucji jak Akademia. Przecież owi autorzy są także czytelnikami i słuchaczami, są publicznością. Trzeba się i publicznością zainteresować, zerwać osławioną rampę, ale w sposób nie tak naiwny jak rosyjscy reżyserowie.

Czy przez to zostałyby uszczuplony świat najwyższych wartości estetycznych? Wcale nie. Dystans między arcydziełem a pospolictwem pozostaje nadal nieskończenie wielki, ale zmniejsza się dystans między ludźmi. Następuje zbliżenie innego rodzaju, na gruncie sztuki; otwiera się świat zbiorowych marzeń, tęsknot, wysiłków i początków kry-stalizacyjnych, do którego kluczem przypadkowym jest właśnie taki konkurs. (To jest socjalizm, lepszy od politycznego).

Jeżeli się na opublikowanie tych moich zarzutów zdobyłem, to nie poto, aby dokuczyć moim Czcigodnym Kolegom, lecz aby zawstydić przeciwników Akademii. Dotychczas bowiem, jeżeli atakowano Akademię, to tylko z powodu drobiażgów, których znaczenie wyolbrzymiano. Np. *Wiadomości Literackie* z samego początku zapowiedziały ostrą walkę z Akademią, ale skończyły się na marnej wierszowanej elokubracji Słomskiego z powodu prelegencji wystąpienia Berenta i Miriama. Skrajna lewica jeszcze gorzej się spisywała; głównym jej zarzutem było, że Akademia kupuje dusze lewicowych literatów za stypendja, — ale gdyby np. ci literaci stypendjów nie dostali, to powiedziano by: mają stypendja i nagrody tylko dla „swoich”. Kurek, jej zdaniem, dostał nagrodę za zohydzenie wsi i t. p. Lewica ma istnego bratka na punkcie zdrady politycznej.

Co się znów trzyczy endeków, różnych skamandroidów oraz członków Akademii „Niezależnej”, to mogę z dużą szansą prawdopodobieństwa powiedzieć, że gdyby inny garnitur ludzi siedział w Akademii, konkurs byłby został w ten sam sposób zalatwiony. Gdyby na miejscu Sieroszewskiego był Wasilewski, na miejscu Kadena Goetel, na miejscu Leśmiana Tuwim, na miejscu Irzykowskiego Siedlecki, na miejscu Boya Nowaczyński lub Nowakowski, i zamiast Nalkowskiej Dąbrowska czy Jasnorska, rzeczy potoczyłyby się tym samym torem. Nawet gdyby Akademię utworzyli Miller, Drzewiecki, Szenwald, Wasilewska i Szemplińska, wynik nie byłby inny.

Moje zarzuty wypowiedziałem dopiero po przeczekaniu czasu, w którym inni literaci mogli już byli w jakikolwiek sposób zareagować przeciw orzeczeniu konkursu. Nie uczynili tego, więc uważałem, że wszystko w porządku. A wypowiedziałem je tylko w przeświadczeniu, że moja argumentacja, choć zwrócona przeciw Akademii, nawet w kołach jej przeciwników nie znajdzie poklasków, tak bardzo zasada elitaryzmu (i talentyzmu)³ stanowi integralną część myślenia i czucia literatów polskich, oraz żydowskich. Kompromituję więc nie Akademię tylko sam siebie. Po mojej stronie będzie tylko Stanisław Czernik, rozumny krytyk najmłodszego pokolenia, redaktor *Okolicy poetów*, który w n-rze 7 tego miesięcznika w swoim artykule p. t. „Odwracanie tezy” wygłosił i uzasadnił podobne poglądy, ale i on musiał się zastrzec, że mówi tylko w swoim imieniu.

KAROL IRZYKOWSKI

³ Zobacz w *Słowniku* odnośny artykuł, oraz wykład teorii Crocego o intuicji (w *Walcie o treść*), teorii, którą sam jej twórca nazywa „demokratyczną”.

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

jedynie od lat 15-tych w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka, 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9141-53).

„ZMORY” TRZEBA ZAŁATWIĆ

Biorę się do tej roboty niechętnie. Z dwóch względów: najpierw że z Zegadłowiczem wysuszyliśmy niejedną butelkę i wyśpiewać teraz wobec niego w roli oskarżyciela — to żadna dla mnie przyjemność. Po drugie: nie czuję się w najmniejszym stopniu powołany do wygłaszania moralów i kazań, do „budowania” bliźnich. Ale cóż — skoro trzeba. *Zmory* narobiły w naszym bajorku literackim tyle wrzawy, wypisano o nich tyle bzdurstw, że staje się to już niepokojące, nawet groźne. Oto dlaczego występuje. Czy to, co pisano o *Zmory*, było wyrazem bezmyślności, czy snobizmu literackiego, czy tolerancyjności doprowadzonej do granic obłędu, czy wreszcie zlej woli i tendencji destrukcyjnych — wszystko jedno. Dość że *Zmory* stały się modne, że robi się im karierę społeczną. Piszę o nich jako o „odważnej” książce, powiada się, że są wyrazem walki z obłudą, zakłamaniem, czyni się z nich niemal ewangelję. Nie miałbym nic przeciwko spokojnej, czysto literackiej dyskusji na temat: „jak on to zrobił”. Może sam wziąłbym w niej udział. Ale skoro *Zmory* reklamuje się jako książkę heroiczną, skoro się je zaleca do czytania, to taka akcja z protestem spotkać się musi i powinna.

Istotną cechą *Zmor* jest ich antyhumanistyczne stanowisko. Kluczem do zrozumienia postawy autora jest pierwszy rozdział książki. Rozdział, o którym czytelnik rychło zapomina, oszłomiony makabryczno-pornograficznym bałaganem rozdziałów następných.

Znajdujemy tu coś w rodzaju kosmogonii. Zaczyna się od stworzenia świata. Kosmos, gwiazdy — i wśród nich zabłąkana ziemia. Na niej rośliny, zwierzęta — wreszcie człowiek. Rzecz charakterystyczna: dopóki mowa o gwiazdach, słońcach, zwierzętach i roślinach — poeta przemawia z entuzjazmem. Dla człowieka — ma tylko ironię. U podstaw tego nastroju tkwi jakaś naiwna „filozofia przyrody”, nie wystrzelająca ponad popularne broszury przyrządzane na sosie Häcklowsko-Bölschowskim. Dla Zegadłowicza człowiek jest punktem zwrotnym, od którego zaczyna się kompromitacja przyrody. Sprawy ludzkie są dla naszego autora śmieszne i niezrozumiałe. (Wartoż było ślepieć nad Goethem!). Jego nieokrzieszenie myślowe jest tak wielkie, że nie umie sobie dopowiedzieć choćby tak prostej rzeczy, jak to, że człowiek jest też rozdzielony w wielkiej księdze przyrody, że wszystko co się dzieje w ludzkim świecie, włącznie do granic wytyczonych na kongresach przez dyplomatów i do gwiazdek na kolnierzach oficerów austriackich, jest też — ostatecznie — jakąś artykulacją w wielkim królestwie natury, czemuś odpowiada, coś znaczy; że walki toczone się w świecie ludzkim są jednym z fragmentów odwiecznego dramatu przyrody. Świat ludzki, najmniejszy, niby to ostatnie jajeczko w wielkim jajku kosmicznym, ma dystynkcje najprecyzyjniejsze i to czego mu brak „wszerz” — to zyskuje „wgląd”. Nie jest ten świat ani trochę mniej realny, a to, co się w nim dzieje, ani trochę mniej ważne przez to, że istnieją słońca i drogi mleczne. Ale Zegadłowicz tej proporcji nie dostrzega; pokutuje w nim swoista estetyka chłopiego dostatek: musi być dużo nawalone, żeby to w ogóle coś znaczyło. Imponuje mu zawsze ilość. Zegadłowicz czuje się solidarny tylko z tym rozproszonym w przestworzach pyłem kosmicznym, ale nie czuje się ani trochę solidarny z człowiekiem. (W dalszym ciągu zilustruję to przykładami).

I tu wysuwa się sprawa zasadnicza. Kto tak myśli, kto tak czuje jak Zegadłowicz, dla kogo świat ludzki jest jakąś pomyłką, jakimś niepotrzebnym marginesem przyrody — ten staje na stanowisku *anty-ludzkiem*. Dla Zegadłowicza jedyną rehabilitacją człowieka jest jego reabsorpcja w kosmosie, powrót na bekształtne łono przyrody.

W świecie Zegadłowicza sprawa ludzka jest skompromitowana raz na zawsze i rycałtem. Nawet miłość płci jest mu obca w ludzkiej postaci; zna tylko jakiś księżycowy seksualizm. — Od gatunku *homo sapiens*, cywilizacji, z powrotem do mgławicy — oto jego program. Można i takie stanowisko rozważać, można je nawet chwalić i niejedną za nim przytoczyć argument. Nie można tylko jednego: nie można tego stanowiska nazywać ludzkim i nie można go scalać ze sprawą człowieka i z człowieczą rzeczywistością. Trzeba je nazwać *destrukcyjnym*. W sensie zupełnie obiektywnym, bez jakiegokolwiek domieszki moralizatorstwa, w tym sensie, że jest ono przeciwieństwem wszelkiego budownictwa społecznego, wszelkiej hierarchii, wszelkiej organizacji.

Książkę Zegadłowicza cechuje niezwykła niezdarność pisarska. Harmonizuje to z jej tendencją. Zegadłowicz jako artysta jest antykonstrukcyjny. Jedyńa dostępną mu formą jest narracja: jednokierunkowa, tocząca się jak kula śnieżna, bekształtna, wybiegająca w bekszes. Ta niemożność

konstruowania zbliża go do Jerzego Bandrowskiego, który jednak żyje w wyższym świecie duchowym. U Zegadłowicza nie się nie rozstrzyga, nic nie dojrzewa — wszystko ciągle tylko przelewa. Nie chodzi mi o to, żeby w powieści była konieczność wyrażania „fabuła”, żeby się coś koniecznie „działo”. Fabuła może być zwrócona na wewnątrz. Ale chodzi o to, żeby spiętrzenia wypadków, przecięcia sytuacji, naświetlony człowiek w sposób, wydobytający z niego takie reakcje, jakich nie wydobędą nigdy jednokierunkowe i chaotyczne opowiadania o tem co kiedyś „zaszło”. Podobnie jak brylant trzeba odpowiednio ustawić wobec źródła światła, aby błyszczał, tak też pisarz musi w ten sposób obracać swoimi „modelami”, tak przemysłnie operować sytuacjami, tak ciągle swoje postacie ze wszystkich stron zaskakiwać, ażeby z tych skrzyżowań wydobyc najwłaściwie, co najważniejsze, co leży u spodu. Otóż tego kunsztu Zegadłowicz nie posiada. W książce jego, będącej jak wiadomo biografią ucznia z galicyjskiego prowincjonalnego miasteczka, mamy tylko długi sznur faktów; nie brak tam zresztą scen pod względem artystycznym ciekawych, pełnych plastyki, niekiedy wstrząsających, nieraz uderzających swoim demonicznym humorem. Nie brak też postaci świetnie uchwyconych, takich jak naprzykład wuj Komenda, pani Wilhelmina, Oremus i inni. Ale to są wszystko niekończące się obrzytmie notki. Gdyby te elementy zorganizować, przepuszczając przez nie elektryzujący prąd konstrukcji, wówczas byłaby to powieść może wstrętna ze względu na aure, ale na swój sposób doskonała. Zegadłowicz jednak zatrzymał się u progu tej możliwości, u progu, którego przekroczyć nie zdołał.

Ilekroć biorę do ręki książkę typu *Zmor*, przychodzi mi na myśl głosna *Podróż do kresu nocy* Céline'a. Céline stał się dla tej literatury niejako kanonem, miarą. Przykładając tę miarę do książki Zegadłowicza, widzimy jak bardzo Céline nad nim góruje. Céline powiada: w człowieku odnalazłem zastrachanego szczura, którego jedyną troską jest znaleźć pożywienie na śmietniku i utrzymać się przy życiu. Ja sam jestem tym szczurem, czuję się członkiem tego szczurzego społeczeństwa. Jest to stanowisko desperackie, ale na dnie tego cynizmu tkwi jednak jakaś solidarność, jakaś zuchwałosc w przyznaniu się do postawy, która — zgóry wiadomo — spotka się z powszechną pogardą. Otóż tej solidarności, tego wzięcia na siebie odpowiedzialności za obydł świat, którą się opisuje, u Zegadłowicza niema. Ale jest coś innego.

Osoba, z którą rozmawiałem o *Zmory*, wyraziła zdziwienie, że Zegadłowicz, dotąd zawsze obstawiony świętymi, za panbrat z beskizkim Chrystusikiem frasośliwym, nagle świętki rzucił w kąt. Żłudzenie. Zegadłowicz świętków nie porzucił. Skupił tylko wszystkie świętki w jednego, jednego, którym jest on sam. I to jest właśnie w książce odpychające, jakiś cymesowy stosunek do samego siebie, naiwny, prowincjonalny egocentryzm, którego śmieszności autor nie spostrzegł i najobrzydliwiej przez cały czas nad sobą się rozklewiał.

Zegadłowicz umieścił bohatera swej opowieści w otoczeniu ludzi, którym odmawia tytułu człowieczeństwa. Jest to zgraja pijaków, chamów, rozpustników, sadystów, głupców, oszustów. Rehabilitacją ma być parę papierowych sentymentalnych dygresyj na temat ojca Mikołaja. To wszystko co Zegadłowicz znalazł dla stworzenia. Zato dużo znalazł dla Mikołaja. Stworzył dla niego nawet osobny język. Wyraża się o nim w samych diminutivach. Mikołaj ma „rączki”, „nóżki”, „bladą twarzęczkę”, ha nawet „członeczek”.

Miarą wartości ludzi jest to, co każdy z nich uczynił dla Mikołaja. A więc pani Wilhelmina, prowincjonalna kumoszka, potraktowana zimno i bezwzględnie (zresztą narysowana z dużym i trafnym humorem) nabiera w oczach pisarza wartości dopiero z chwilą, kiedy poczyna karmić młodego Mikołaja i tem forsownem tuczeniem stawia go na nogi. Na tem rola pani Wilhelminy w ludzkości tudzież kosmosie kończy się.

Pepeł świata — to Mikołaj, wieszcz *in spe*, a pozostali ludzie mają znaczenie o tyle, o ile przeszkadzają lub pomagają Mikołajowi w wykonywaniu jego „misji”. Wszystko wolno obrócić na nice, opluć i skopać — wara tylko od Mikołajowych wierszyków: nie szargać świętości! Bóg przez małe b — ale niechby kto tknął Mikołaja! Zegadłowiczowi, ocierającemu się o swoje postacie, ani razu nie przyjdzie na myśl, że życie tych ludzi, mimo całej swojej szpetoty, jest jednak coś warte, że ma jakiś swój głębszy człowieczy sens, może wcale nie mniejszy od Mikołajkowego wierszობstwa. Może nawet znacznie większy. A już specjalnie niesmaczny jest ten zimny

i pogardliwy stosunek do ludzi u poety, głoszącego ideologię „miłości” i „pokory”, które mi kokietuje nas również w *Zmory*. Dopiero w *Zmory* widać, co warta jest cała ta „miłość”, jakie są jej podstawy.

Jest w tej powieści jedna niewspółmierność, chwilami bardzo zabawna, jeśli ją zestawimy z pozą „odkłamywania świata”, którą autor przybiera. Oto ten święty Mikołajek, poeta, cudeńko, aniołek w ludzkiej skórze, wtrącony w prowincjonalne bagno galicyjskie, opisuje jednak to bagno wcale dokładnie, z wielkimi zamiłowaniem i smakiem. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Mikołajek ma anielską duszyczkę, ale i świrdrujące oczki kumoszki, łasej na „szkandal”, a mającej dość talentu literackiego, by ten „szkandal” przedstawić pikantnie i plastycznie. Bohaterem powieści jest aniołek, ale obrazy, które się w jego wyobraźni odbijają, są to obrazy mogące powstać właśnie w wyobraźni kogós z tych Raciatów, Ptaszyckich, Oremusów. Równoległość tych dwóch wizji: anielskiej i rysztołkowej jest źródłem efektów równie komicznych jak obrzydliwych.

Nie chcę, mimo zasadniczo negatywnego stosunku do *Zmor*, umniejszać ich wartości artystycznej. Nie zawaham się nawet powiedzieć, że jest to najlepsza książka Zegadłowicza, jeśli przynajmniej chodzi o prozę. W porównaniu z ekliwami i nieszczerkami trzema tomami *Żywota Mikołaja Srebrampisanego Zmory* — to niewątpliwie postęp. Zegadłowicz zrzucił z siebie pontyfikalne szaty i pokazał się w negliżu. Ten negliż jest robaczywy, to prawda, ale mimo wszystko wolę w sztuce prawdziwe robaki, niż fałszywy podniosłość. Zresztą myliłby się, kto by sądził, że Zegadłowicz wyżył się swoimi dawnymi nałogami, że zapomniał o wszystkich „załęknionych ciuszach”, i „godzinach jalowcowych”. Gdzie tam! Wszystkiego tego znaleźć można w *Zmory*ch podostatkiem i — przynajmniej — w gatunku nawet lepszym, bo ożywionym szczerością.

Wychowanie austriackie pozostawiło na Zegadłowiczu niezatarte ślady. Jest w tej książce typowy przedwojenny austriacki cynizm, cynizm człowieka wychowanego w państwie, w którym nic się nie działo, które

miało historię tylko protokolaną, nie przeżywaną przez naród jako odpowiedzialny proces dziejowy, w państwie, którego operetkowe urządzenia i niewiara w to, aby cokolwiek na świecie miało się dziać serio, wżarły się w dusze ludzkie i położyły piętą na całym ich życiu. Nie zmienia tego w niczem fakt, że właśnie ci ludzie na funty kpili z Franz Jozefa, że mieli wyostrozony kaharetowy zmysł peryflażu, który obraca się przeciw wszystkiemu co napotka, nie wyłączając samej monarchii Austro-Węgierskiej. Ale to ich nie rehabilituje. Wywodzą się mimo wszystko z Franz Jozefa. Są krwią z jego krwi, kością z jego kości — na to niema rady. A Zegadłowicz w *Zmory*ch jest tej psychiki najwierniejszym odbiciem. Psychiki, w której nic nie waży poza naiwnym i konpromitującym egocentryzmem.

W rezultacie: Niagara pornografji, sporo dobrych realistycznych spostrzeżeń, scen, postaci, dużo patryjotyzmu — czeskiego, a wszystko puszczone na stary poetycko-świątkarski sos.

Czy taka książka powinna się była ukazać? Mimo wszystko: tak. Jeśli ktoś mnie pyta, czy można pisarza ograniczać, odpowiadam bez wahania: nie. Każde ograniczenie, choćby najsluszniejsze, narzucone zewnątrz i nieprzyjęte przez pisarza jako nakaz wewnętrznej konieczności, jest sprzeczne z samym procesem twórczym. To co Zegadłowicz miał do powiedzenia w *Zmory*ch jako artysta, usprawiedliwia mimo wszystko napisanie tej książki. Ale jest rzecz niebezpieczną i groźną nietylko robbienie jej kariery, co z przerażeniem spostrzegamy, ale poprostu oddanie jej bez zastrzeżeń w ręce społeczeństwa. Kiedy wyszedł *Ulisses* Joyce'a, jeden z niezujących już dziś uczonych naszych, chcąc nabyć egzemplarz tej książki, musiał przeprowadzić korespondencję z wydawcą. I słusznie. *Zmory* Zegadłowicza powinny być również objęte tym przepisem. Staje się to tem więcej konieczne, że z powodu *Zmor* zaczynają niektórzy krytycy, dotąd lekceważący twórczość Zegadłowicza, z wielkim zapalem i pietyzmem robić zeń ojca narodu, świętka jakiegoś podejrzanego obyrzdku.

J. E. SKIPIŃSKI

KSIAŹKI PODRÓŻNICZE

W witrzynach księgarskich zjawiły się przed paru dniami cztery tomy nowej kolekcji podróznicej: ruchliwi i poważni nakładcy wyposażyli książki w smaczną i kuszącą szatę zewnętrzną, od nazwiska autora do podpisu wydawnictwa wszystko na okładce zachęca, aby wejść do księgarni, przynajmniej przekartkować książkę i „ohlizać się”, jeżeli cena będzie za wysoka. We wnętrzu jednak księgam czytają nowe niebezpieczeństwa: ominąwszy wolejowiznę stopy najnowszych książek o Abisynji (co za tempo w produkcji aktualności!) i zerknąwszy zyczliwie na Monfreida, zetkniemy się z dziesiątkami nowości, przedewszystkiem francuskich, poświęconych dalekim krajom, morzom i łądom, a także krajom bliskim i narodom sąsiedzkim, jakby nanowo odkrywanym i egzotycznym. Zrobił się jakiś nie-notowany oddawna ruch na literaturę podróżniczą, na relacje przerożnych wypraw naukowych, indywidualne pamiętniki, beznamienne lub beletrystycznie traktowane opisy przygód samotnych podróżników. Zjawisko jest napewno zastanawiające. Dlaczego właśnie teraz tyle zainteresowania dla szerokiego świata, skąd wzięło się naraz tylu czytelników literatury, hynajmniej nie beletrystycznej, nie-conradowskiej i nie-lendonowskiej, posługującej się obficie fotografią i mapami, często jeszcze wykresami statystycznymi i cyframi? Naturalnie — moda, ale moda na pewien gatunek literatury nie wyskakuje z samej reklamy, jest niewątpliwie zależna od jakichś zasadniczych zainteresowań czytelników, a znów ci czytelnicy także nie porozumieli się za pośrednictwem radja, żeby ulegać równocześnie tej samej reklamie wydawców, a wreszcie i reklama tego typu książek nie jest hynajmniej jaskrawa i krzykliwa. „To idzie samo” — objaśnia księgarz-sprzedawca. Więc jednak dlaczego tak idzie?

Nic o tem pewnego nie da się powiedzieć ponad to, że zauważone zjawisko wystąpiło w okresie apogium autarchji, kiedy wszystkie państwa obmyśliły najbardziej wyafinowane środki zamknięcia się we własnych granicach, odrutowania narodów wszelką samowystarczalnością, taryfami celnymi, zarządzeniami dewizowymi, paszportami i wielokrotnionemi wizami, tlamszeniem się we własnej samowystarczalnej biedzie kryzysowej. Wszyscy udają, że nie wiedzą, o co chodzi, ale wszyscy chcą sobie wzajemnie dowiedzieć, że potrafia być samowystarczalni na wypadek wojny, i mikt się już nie ludzi co do faktu, że świat, a przynajmniej Europa, przeprowadza wielkie manewry gospodarce. Żyjemy w okresie intensywnej go-

spodarki wojennej — ta jedna diagnoza ekonomistów wydaje się być trafna, a jeżeli ta jest trafna, to wszystkie inne, które są z nią sprzeczne, są kłamliwe. I właśnie przeciw tej polityce gospodarce zjawiają się pierwsze protesty. Niewinne książki podróżnicze stają się paljatywem, znachorskim lekkiem na udrcę przecigniętej poza granice wytrzymałości ludzkiej autarchji. W tej lekturze zaczyna się wyzywać tęsknota ludzi za ludzmi i potrzeba żywego kontaktu narodów z narodami. Zawsze istniała dążność do poznawania obcych krajów i ludów, od czasu jednak wojny po raz pierwszy literatura w tym stopniu zaczyna oczyszczać ścieżki na przyjęcie rozsądka i zdrowego sensu, jakby wołając żywym głosem, że czas nareszcie przestać wierzyć w niezbędnosc wojny. Naturalnie nikt nie przyznaje się jawnie, że wierzy w niezbędnosc wojny, nikt jednak nie chce pierwszy powiedzieć, że nie wierzy w przysięcie wojny, wszyscy zaś myślą tylko „tak, na wszelki wypadek”. Pierwsza jaskółka pacyfikacji umysłów ma jeszcze słaby lot, tem słabszy, że z łaski Anglików Europa uparla się widzieć w konflikcie włosko-etiopskim zarzewie „polaru światowego” i skorzysta z milego sercu pretekstu sankcji gospodarczych, aby jeszcze zacieśnić obrycze na samowystarczalnych beczkach. Może jednak książeczki zrobią swoje, książeczki niosące życie bliskich i dalekich ludów, z którymi inne ludy chciałyby żyć, na ich rozwój patrzyć, do tego rozwoju w miarę możliwości się przyczynić i wzajemnie od najodleglejszych społeczeństw czegoś się nauczyć.

Bez większych rezultatów przeminęła epoka literackiej pacyfikacji umysłów za pomocą czystego pacyfizmu, uprawianego w imię całego alfabetu ideałów wszechludzkich. Dla Europy, jeszcze nie wylęczonej ze zdziczenia wojennego, była to pożywka za delikatna, zastryk nie przebiegał zgrubiałego naskórka. Więc literatura cofnęła się na niższy nieco szczebel; zamiast opowiadać o przewrotach w duszy narodów zaczyna mówić o samych narodach i ich zwykłym, codziennym byciu. Narazie sprawa wygląda tak, jakgdyby „chwyciło”. Poznawamy szeroki świat w tej jedynej, powszechnie dostępnej formie, jaką jest literatura o świecie, i czynimy to tak długo, dopóki m/s „Pilsudski” i „Batory” nie złączą nas wozic po morzach i ku odległym łądom — sposobem normalnym, za nasze własne pieniądze, nie zaś, jak niestety muszą to czynić teraz, gratis i franko.

STANISŁAW ROGOŹ



SZTUKA I ANTENA



STWÓRZMY LIGĘ RADJOFONIZACJI KRAJU!

Z tą chwilą kiedy Polskie Radio z rąk prywatnych przeszło w ręce Państwa, zmieniły się i rozszerzyły zadania naszej radiofonii. Przedsiębiorstwo prywatne lubi często-kość posługiwać się frazesami o społecznych, kulturalnych czy artystycznych idealach swej działalności, jednakże idealom tym o tyle jest wierne, o ile realizacja ich nie koliduje z celem głównym, którym jest uzyskanie możliwie największych zysków dla właścicieli imprezy.

Radio pod zarządem państwowym — to zupełnie inna historia, jeśli — rzecz prosta — Państwo nie zechce potraktować tej instytucji narówni z temi, których celem jest właśnie pomnożenie dochodów Skarbu (np. monopole państwowe). Na to się jednak nie zanoszą bodaj. Państwo zdaje sobie sprawę, że uzyskało w radju potężny instrument o rezonansie społecznym. Użyty umiejętnie, może oddać nieocenione usługi w krzewieniu kultury i oświaty, w wychowaniu obywatelskim szerokiej mas. Zadania na tem polu są tem większe, im bardziej zaniedbany jest teren podległy fałom radjowym.

Pomimo siedemnastu lat pracy rządów Niepodległej Polski, różnice w stopniu kultury poszczególnych ziem Rzplitej nie zostały wyrównane. I radio, które przed dziesięciu laty rozpięło anteny nad Polską, zastało słuchaczy rozmaicie pod tym względem przygotowanych. Stąd w dzielnicach zachodnich naprzykład, gdzie oświata, czytelnictwo i życie społeczne znajdują się na poziomie wyższym niż w regionach północno-wschodnich, łatwiejszą i rzeczą można mniej odpowiedzialną rolę ma do spełnienia. Tam może wystarczyć program o charakterze rozrywkowo-informacyjnym. Co innego w tych polaczkach kraju, gdzie analfabetyzm i brak uświadomienia obywatelskiego z trudem dopiero ustępują pod działaniem akcji oświatowej. Tutaj radio może i powinno stać się niezastąpionym sojusznikiem postępu i cywilizacji, że użyję tych mocno skądinąd wysławianych terminów.

Lecz zagadnieniu to ma dwoiste oblicze. Sprawa doboru odpowiednich programów, uwzględniających możliwie wszystkie warunki i potrzeby terenu, sprawa treści i formy audycji, liczących się z psychologią i typem umysłowości jego mieszkańców — to jedno. Drugie — to troska o to, aby te mądrze obmyślane programy nie zły w powietrze, nie ginęły w próżni.

Aby tego uniknąć, należy umożliwić masom wiejskim i prowincjonalnym słuchanie radja. Państwo uczyniło pierwszy krok na tej drodze, obniżając w roku ubiegłym abonament radjowy małorolnym z trzech złotych na jeden złoty miesięcznie. Nie mam pod ręką odpowiednich cyfr, aby wykazać, jaki to dało efekt w radiofonizacji wsi¹. Przybyło bodaj kilkadziesiąt tysięcy nowych słuchaczy „złotówkowiczów”, ale gros radjosłuchaczy stanowią dalej ci, co opłacają taryfę normalną, więc w ogromnej większości zamożniejsza ludność miast. Bądź co bądź stosunek ilości słuchaczy wiejskich do miejskich ani trochę nie odpowiada znanej przewadze ludności wsi nad ludnością miast. W tej dysproporcji widzę stan nienormalny, którego ostrość podkreśla jeszcze ta okoliczność, że w mieście radio jest jedną z wielu form oddziaływania kulturalnego, na wsi częściej — jedyną.

I nienależy się ludzi, że nawet całkowite zwolnienie rolników od opłat radjowych dokona tego, że radio zabłądzi pod strzechy. Przy dzisiejszym zaubożeniu stanu chłopskiego najważniejszą przeszkodą jest koszt sprzętu radjowego. Nieruchło wieśniak z Podhala czy Wilenszczyzny zdobyć się na kilkunastozłoty wydatek, aby zainstalować w swej chałupie detektor z jedną choćby parą słuchawek. Przy polepszeniu koniunktury gospodarczej mogą tu zachodzić zwolna coraz liczniejsze wyjątki, ale tylko wyjątki.

Tymczasem radiofonizacja kraju nie może odbywać się kropla po kropli, lecz powinna przybrać charakter masowy. I

winna być prowadzona w tempie natarcia. Kto choć trochę zna warunki egzystencji „szarego człowieka”, bytującego w beznadziejności naszych miasteczek i wiosek, ten nie będzie się dziwił naciskowi, jaki kładę na tę sprawę. Pilności jej nikt chyba nie zakwestjonuje. Jest ona, zdaniem mojem, tak samo doniosła i niecierpiąca zwłoki jak np. sprawa obrony powietrznej Państwa. I tak samo musi być podjęta wspólnym wysiłkiem społeczeństwa i władz państwowych.

Umysłnie użyłem tu analogii z obroną powietrzną. Wydaje mi się bowiem, że radiofonizacja mogłaby się skonkretyzować w podobnych formach działania. Należałoby więc stworzyć rodzaj Ligi radiofonizacji kraju z oddziałami we wszystkich miastach wojewódzkich i powiatowych. Liga dążyłaby do osiągnięcia celu, wyrażonego w swej nazwie, przez otwieranie na prowincję „punktów słuchowych” w postaci świetlic, klubów czy gospód radjowych, gdzie centralnym sprzętem byłyby odbiorniki z głośnikami. Należałoby te punkty uruchomić przedewszystkiem w szkołach powszechnych, w świetlicach, prowadzonych już przez takie organizacje, jak Związek Strzelecki, Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, Polska Macierz Szkolna i t. p. i to nie tylko po wsiach, ale i na peryferiach większych miast, zamieszkiwanych przez najuboższą ludność. Ten sam głośnik radjowy, który w kamienicy średnio-wiejskiej stał się plagą, na głuchej dziś i ponurej wsi może stać się dobrodziejstwem, doradcą i przyjacielem.

Zalążkiem organizacyjnym Ligi mogłaby stać się istniejąca już przy niektórych rozgłośniach stowarzyszenia radjosłuchaczy, t. zw. „rodziny radjowe”, które obecnie zajmują się wyłącznie akcją charytatywną (udostępnianie radja niewidomym i chorym). Jest to cel bardzo szlachetny i mógłby nadal być zachowany przez tę nową organizację, powołaną jednak do akcji szerszej, o znaczeniu powszechnym.

Pozostaje do omówienia punkt najdrażliwszy tego projektu, pytanie: skąd czerpać fundusze na ten cel? Tu widziałbym trzy główne źródła stałych wpływów: 1-o) oddanie do dyspozycji Ligi pewnego, choćby minimalnego odsetka z opłat abonamentowych, 2-o) opodatkowanie odbiorników luksusowych od dwulampowego wzwyż, z zastosowaniem progresji od każdej lampy, 3-o) opodatkowanie honorarjów i tantjem, wypłacanych przez Polskie Radio. Zastosowanie w tych trzech kategoriach nieznaczej, np. półprocentowej daniny da w sumie fundusz, który stanie się podstawą budżetu Ligi, który pozwoli uruchomić w terenie co roku po kilkaset, co najmniej, punktów słuchowych.

Zdaje sobie sprawę, jak niepopularne jest obecnie występowanie z projektami nowych „haraczów” i że to najczęściej może przeszkodzić spopularyzowaniu wysuniętego tu planu, jednak jako okoliczność łagodzącą chciałbym wskazać to, że te nowe świadczenia dotknęłyby tylko ograniczoną sferę ludzi, czerpiących dochody właśnie z radja. Ponadto spodziewać się należy, iż po pewnym czasie nastąpiłoby nasycenie terenu, wydatki inwestycyjne zmalałyby znacznie i wówczas Lidze pozostałoby tylko dbałość o zachowanie zdobytych dla radja terenów i utrzymanie świetlic radjowych w należyłym stanie.

Wreszcie zaznaczyć trzeba, iż akcja ta w niczem nie zaszkodziłaby interesom dotychczasowego audytorjum, rozkoszującego się „muzyczką” i „wesołymi skeczami” i żądającego od radja „za swoje trzy złote” jak najczęściej rozrywek. Obowiązek dostarczenia odpowiednich audycji nowym słuchaczom, zmobilizowanym dokoła głośników przez Ligę, spadłby głównie na rozgłośnie regionalne, jako najlepiej orientujące się w potrzebach społecznych swego terenu.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI

OD REDAKCJI

Odpowiedź na artykuł Marii Dąbrowskiej p. t. „W sprawie muzyki w radjo”, wydrukowany w poprzednim numerze naszej kolumny radjowej, zamieścimy w najbliższym numerze „Sztuki i Anteny”.

TEATR WYOBRAŹNI BEZ WYOBRAŹNI*

Nieraz po wysłuchaniu mądrego i ze swadą wygłoszonego odczytu mówimy sobie: „Trzeba będzie to przeczytać, a wtedy dopiero zdam sobie sprawę z istotnej jego wartości”. To postanowienie świadczy o dwóch rzeczach: 1) że mamy do czynienia z pracą gruntownie przemyślaną i 2) niedostatecznie przetrwaną i uproszczoną, aby się stała łatwo przyswajalna. Inaczej mówiąc, autor projektował swoją pracę w niewłaściwej do jej celu płaszczyźnie.

Otóż pierwszą moją myślą po wysłuchaniu przez radjo *Cezara przed Rubikonem* Jerzego Ostrowskiego było: „Trzeba tę rzecz przeczytać, a wtedy dopiero...”

Impulsywność tej myśli kwalifikowała pracę jako utwór wybitnie literacki, dyskwalifikowała ją jako słuchowisko. Samo zagadnienie dyktatury może być przedmiotem rozprawy, dyskusji, czy dialogu, może być wcielone jako teza w dramat dyskusyjny (typ Bernarda Shaw), ale nie może wypełnić całkowicie ram słuchowiska prosto dlatego, że jest abstraktem, który działa tylko na nasz intelekt, a imaginację pozostawia nietkniętą na uboczu. Co za irracjonalizm! Utwór, przeznaczony dla teatru wyobraźni, nie działa na wyobraźnię!

Ewentualne powoływanie się na dialogi Platona, w których zupełnie niespodzianie odkryto skarby radiofoniczności, wykazuje tylko nieskończony dystans artystyczny między rzutami genialnego mózgu, projektowanymi w wieczność, a chwytami dyskusyjnymi inteligentnego pisarza, zrzuconymi na tło historyczne.

U Platona sama funkcja wyprowadzania wniosków syntetycznych z rozmaitych aspektów tego samego zjawiska w świadomości osób dialogu jest tak dynamiczna, że starczy za najbardziej żywą akcję. Słuchacz (myślę ciągle o Platonie przed mikrofonem) nigdy nie wie, dokąd dojdzie, na jakie zawrotne wyżyny zaprowadzi go genialny umysł, — i to ciągle oczekiwanie rzeczy nadzwyczajnych, ustawicznie odkrywaniem nieskończone rozległości perspektyw myślowych wywołuje supremację autora nad wyobraźnią słuchacza, wywołuje to napięcie wszystkich władz ducha, które jest nieodzowne dla nawiązania bezpośredniego kontaktu między nadawcą a odbiorcą radjowym.

Użyłam umyślnie zestawienia z dialogami Platona bynajmniej nie w celu pogięcia *Cezara przed Rubikonem*, ale aby tem wyraźniej wypuklić istotę oddziaływania radiofonicznego. Jerzy Ostrowski dał dowód dużej odwagi, ale zarazem i braku intuicyjnego wyczucia tej istoty, obierając drogę największego oporu i najsłabszego rezonansu radiofonicznego: drogę liczmanów historycznych, których obiegiwa symbolika przegląda się w coraz to nowych warjantach tego samego zjawiska politycznego.

Zagadnienie dyktatury, psychiczny klimat, w jakim kielkuje, wyrasta i dojrzewa zamach stanu, przeciwstawienie genialnej jednostki strupieszalemu kolektywowi, myślowa walka argumentów za i przeciw, popierana dowodami rzeczowymi z archiwów historii, — to niewątpliwie ciekawy i kuszący temat zarówno dla esseisty, jak i dla socjologa.

Ale dramaturgowi radjowemu usuwa tu grunt pod nogami jeden zasadniczy fakt: brak wyobraźni w teatrze wyobraźni. W *Cezarze przed Rubikonem* niczego sobie nie potrzebujemy wyobrazić i na nie nie czekamy. Doskonale wiemy, umiemy na pamięć, jak to było z Rubikonem, i jeżeli nam imponuje coś w tej całej historii, to właśnie szybka decyzja Cezara — *Alea jacta est!* — a nie długie, ponocne jego hamletyzowanie. Jeżeli nawet Cezar ważył i mierzył wszystkie pro i contra swego postanowienia, to odbywało się to błyskawicznie, w genialnym skrócie. Ostrowski pokazuje nam ten proces *au ralenti*, w tempie nie tylko wolniejszym, ale i rozwlekłym.

Analizując postępek Cezara, rozczłonkując go na elementy składowe, pomniejszając go jako człowieka czynu, Cezar, dyskutujący ze swoim genjuszem, ta żelazna wola, odmagasowana przez rozważę i sceptycyzm, a jednak działająca niezawodnie, traci na bezpośredniości rzutu. Przelfiltrowana przez analizę, dochodzi do naszej świadomości w stanie skroplonym. Z olbrzymiego wodogrzmotu pozostała mgławica.

A teraz słówko o wykonaniu. Jedne z największych nazwisk aktorskich padły w zapowiedzi Cezara: Zelwerowicz, Adwento-

wicz, Brydziński, Grolicki. Artyści, których podziwiamy na scenie w pełnym blasku ich atrybutów ludzkich, skondensowanych pod ciśnieniem wielkich namiętności, tutaj w atmosferze nawskroś intelektualnej stracili swoją sceniczną prężność. Mózg ma inny ciężar gatunkowy od krwi, jego klimat jest chłodniejszy, jego substancja gęstsza. Pioruny namiętności grzęzną w niej i głuchną. Cezar przed Rubikonem, ten moment wysokiego napięcia psychologicznego i dziejowego, przeladowany elektrycznością, w radjo wypadł dziwnie matowo. Zbyt wielka była dysproporcja pomiędzy zamiarem literatów a radiofonicznym jego zrealizowaniem. Staranna i wnikliwa reżyserja p. J. Ronard-Bujańskiego nie mogła tchnąć radiofonicznego ducha w twór radiofonicznie znumifikowany.

Komentarz historyczny, poprzedzający słuchowisko, negatywnie nastawił inteligentnego słuchacza. Utwór powinien przemawiać sam za siebie, a skoro potrzebuje aż takich podpórek, widać nie stoi mocno na własnych nogach. I wtedy nie uzdrowią go żadne „kulisy historyczne”.

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW

Czytelnik Pionu wysłucha w „Polskim Radjo”

OD 17. XI. DO 23. XI. 35 R.

17. XI. g.:
18.30: Słuchowisko *Kapitan statku Siveking* Rudolfa Sterna w opracow. Antoniego Różyckiego (wznowienie).
20.00: Transmisja z Teatru Wielkiego w Warszawie: opera *Hulka* St. Moniuszki, pod dyr. A. Dołyckiego.
18. XI. g.:
16.45: *Cień między kumotrami*, skecz A. Zacheńskiego.
21.30: Wieczór literacki: *Pamięci Stefana Żeromskiego* w oprac. St. Adamczewskiego.
22.15: Koncert poświęcony twórczości I. J. Paderewskiego.
19. XI. g.:
18.30: *Perzyński jako pisarz powojennej Warszawy*, szkic liter. St. Kaliszewskiego.
21.00: Transm. z Konserwatorium Warszaw.: koncert organizowany staraniem Stow. Miłośników Dawnej Muzyki, poświęcony twórczości J. Händla.
22.30: Ostatni laureat nagrody Nobla: *Hans Stenmann i jego dzieło*, wygl. dr. P. Słomiński.
20. XI. g.:
21.35: *Feliks Przywiecki*—kwadr. poetycki w oprac. dr. T. Terleckiego.
21. XI. g.:
21.00: Słuchowisko *Tukaj* p/g ballady A. Mickiewicza i A. E. Odyńca, w oprac. T. Łopalewskiego.
22. XI. g.:
22.00: VI audycja z cyklu „Kwartety J. Haydna”. W programie Kwartet Smyczkowy C-dur op. 33 Nr. 3 (*Vogelquartet*).
23. XI. g.:
17.00: *W pięciu Krutyńskim*—reportaż z Prus Wschodnich M. Wańkowicza.
23.05: *Spacer po Europie*—retransmisja z rozgłośni europejskich.

NOWY TOMIK „BIBLIOTEKI RADJOWEJ”

ukazał się świeżo w druku p. t.

TEATR WYOBRAŹNI

Uwagi o słuchowisku i literackim scenariuszu radjowym pióra

WITOLDA HULEWICZA

Str. 88. Cena 1 zł. 50 gr.

Do nabycia w księgarniach i w Biurze Studjów Polskiego Radja: Warszawa, Zielna 24.



SAMOLOT

WIELOKROTNIE SKRACA DROGĘ!!!
— PASAŻEROWIE — POCZTA — TOWARY —

¹ O ile się nie mylą, słuchacze wiejscy stanowią 0,1 ogólnej liczby abonentów. Dla całości obrazu należy jednak pamiętać, że w ogromnej polaci kraju przeszkodą w instalowaniu odbiorników z głośnikami po wsiach są odległości od miast posiadających elektryczność, co utrudnia sprawę ładowania akumulatorów. W tych wypadkach zagadnienie radiofonizacji łączy się z koniecznością elektryfikacji, ważnej również z wielu innych względów: kulturalnych i gospodarczych.

ZARYS DZIEJÓW WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI (1908—1918)



Waclaw Lipiński

Ukazało się drugie wydanie książki: *Walka o niepodległość Polski (1908—1918)*. Autor jej, mjr. dr. Waclaw Lipiński, ma już za sobą szereg poważnych prac, które go predestynowały niejako na dziejopisa epoki tak ważnej w naszych dziejach. Pierwsze wydanie tego dzieła z przed lat czterech zostało obecnie zmienione, przerobione i powiększone, na podstawie własnych studiów autora, nowych publikacji i źródeł, świeżo pozyskanych.

Okres jednak tych trzynastu lat naszej historii tak jest obfity w zdarzenia i tak brzemienny w skutki, że przez lata całe jeszcze pracować będą nad nim badacze, że niejedno napewno dzieło na jego tle powstanie. Pierwszym już jednak na zawsze i, co ważniejsze, podstawowym pozostanie dlań niniejsze opracowanie Lipińskiego. W wielkim, 500-stronicowym tomie dał on zasadnicze linie i kierunki badań, dał rzecz również bardzo ważną: pracowite zestawienie źródeł literatury — osobne dla każdego okresu przedstawianych dziejów i osobne dla całości.

Praca podzielona jest na cztery wielkie działy: 1. Organizacje wojskowe przed wojną światową. 2. Wojsko polskie na ziemiach polskich. 3. Wojsko polskie na Wschodzie. 4. Wojsko polskie na Zachodzie.

Nowy zupełnie, a dobrze ujęty jest dział pierwszy. Krótko i jasno przedstawia w nim Lipiński działalność niepodległościowców polskich, na których czele odrazu stanął człowiek jedyny, wódz, o jakim pokolenia marzyły, — „plomienisty romantyk w zamierzeniach, a zimny realista w czynie” — Józef Piłsudski. Nadaje On też piętno swoiste całej akcji, tak jak w kilka lat zaledwie później całej epoce dziejów Polski swoje da nazwisko za tytuł.

W czasie tym, w r. 1906, zwraca uwagę jeden moment. Moment postawienia przez Piłsudskiego doktryny — walki wojska z wojskiem. Doświadczenia 1863 r. i własne z organizacji bojowej P. P. S. doprowadziły Komendanta do stwierdzenia konieczności przygotowania ludzi, przygotowania polskich kadr wojskowych niejako zawodowych, a nie ochotniczo-partyzanckich. Wyróżnienie tej doktryny jest artykuł w *Trybunie* w r. 1906, p. t. *Polityka walki czynnej*. Akcja wtedy zapoczątkowana w osiem lat później przynosi owoce: możność wyprawienia w hój o Polskę, dnia 6 sierpnia 1914 r., strzelców Józefa Piłsudskiego, i w niej należy szukać idei i ducha — Pierwszej Brygady.

Praca tak wielka i obejmująca tak różnolite zagadnienia, jak omawiana książka mjr. Lipińskiego, nie może poprostu nie posiadać rozdziałów lepszych i słabszych, ustępów, do których już nie dodać nie można, i ustępów, wymagających uzupełnień. Powodują to nawet techniczne względy, brak źródeł czy też utrudniony dostęp do nich. A w danym wypadku i brak opracowań wstępnych wielu nasyconych etapów dzieła niepodległościowych.

Widoczne to jest już w drugim dziale *Walki o niepodległość*, opisującym dzieje Legionów Polskich. Są w nim ustępy przepracowane doskonale i wyczerpująco, ale są i sprawy pominięte. Do tych należy np. sprawa legionowych Rad Żołnierskich. Sprawa to tak mało znana, że ostatnio spotkałem się nawet z twierdzeniem, wyrażonym w *Niepodległości* (t. XII, str. 316), że nazwa Rad Żołnierskich nadana została radom legionowym *ex post*, pod wpływem późniejszych rad holsztyńskich. Tymczasem

i tutaj przodują Legiony Piłsudskiego, a właściwie ludzie I brygady, przez Niego wychowani. Rady Żołnierskie w Legionach to piękny dowód dojrzałości politycznej, to ta legionowa wola decydowania samemu o sobie, i ochotne branie na siebie odpowiedzialności za czasy i ludzi. Zapoczątkował bowiem te rady I pułk piechoty Legionów, we wrześniu 1916 r. na pozycji, w chwilach ciężkich, gdy Komendant wniósł swą dymisję z Legionów.

Bardzo też pobieżnie potraktował autor dzieje pobytu legionistów na włoskim froncie i ich tamtejsze akcje w armii austriackiej. Łączy się ta sprawa znowu z organizacją armii polskiej we Włoszech, rozpoczętą w jesieni r. 1917.

Do działu trzeciego, O wojsku polskim na Wschodzie, mamy dobre i gruntowne opracowanie, mianowicie dzieło Henryka Bażyńskiego. Źródeł brak jednak do tego okresu. Nie mamy ich do czasów epopei murmańskiej, do działów III korpusu; w lepszym położeniu są pod tym względem I i II korpus, formacje kubańskie i dywizja Żeligowskiego.

Ciekawie przedstawia się sprawa dokumentów i opracowań czasów armii polskiej we Francji. Tutaj chyba nie powinno być żadnych braków. Tymczasem — aktów pełnie (a czy są we Francji?), źródła zaś oddziału hajonczyków w Polsce niema zdo organizacji i działów tamtejszej armii polskiej z r. 1917/18 dziwnie są pogmatwane. Grają tu zapewne rolę pewną i względy osobiste ludzi czynnych w owych czasach, tak jak ciężką one do dzisiaj również na opisach dziejów I korpusu i jego haniebnej kapitulacji.

Wspominałem już o organizacji armii polskiej we Włoszech. Mjr. Lipiński organizację jej uzależnia od powstania armii polskiej we Francji. Tymczasem, zależność ta istnieje dopiero w r. 1918. Polacy zaś rozpoczęli się organizować w obozach jeńców w Italii, jak już wspominałem, w jesieni w 1917 r.¹ Wczesną wiosną 1918 r. jest już na froncie oddział por. Stefana Kluczyńskiego. Oddział ten ma w czasie walk 15 zabitych i 27 rannych, między nimi oficerów (zabit dn. 9. VI. 1918 r. ppor. Główek, pochowany w Roncodo, i ranny por. Szalagan). Dla porównania strat innych oddziałów sprzymierzonej, podaje, że Czesi mieli na froncie włoskim 52 zabitych i 239 rannych, a Amerykanie 5 zabitych, 12 rannych. Większe daleko straty mieli Anglicy i Francuzi, przy niewspółmiernie wyższych ilościach wojsk biorących udział w walkach. W oddziale por. Kluczyńskiego służyli i legionści, znajdujący się też oni i między zabitymi i rannymi.

Podobnie drobnych uzupełnień dodaćby można zapewne i więcej. Nie zmieniają one zasadniczej wartości pracy Lipińskiego. Uważnego czytelnika zastanowi natomiast rzecz inna. Podałem już, że po każdym rozdziale podaje autor źródła i bibliografię, charakteryzując je krótko. Otóż — tu właśnie zastanowić się można nad ogromem pracy przezeń dokonanej i nad wielkością też braków naukowych w tej dziedzinie. Najlepiej przedstawiają się pod tym względem czasy Polskiej Sily Zbrojnej (1917—1918) dzięki pracom Wł. Gierowskiego: *Polska siła zbrojna w przededniu niepodległości i Królewsko-Polska Komisja Wojskowa, jej organizacja, działalność i dorobki w latach 1917—1918*. Większą ilość prac wstępnych mamy też dla czasów przedwojennych organizacji niepodległościowych. Gorzej już stoją czasy legionowe. Ciekawe, że brak tu np. opracowania tematów tak wdziecznych, jak przejście II brygady przez front austriacki w 1917. Co do formacji wschodnich, to wspominałem już powyżej o podstawowej dla nich pracy Bażyńskiego.

Podkreśla mjr. Lipiński wszędzie przede wszystkim ofiarną służbę polskiego żołnierza. Czy w Legionach Polskich, czy w Legionie Puławskim, na Syberji, czy we Francji, bez uwagi na osobiste wygody czy korzyści, wbrew nieraz politycznym „mądrościom”, żołnierz stawał do walki pod polskim sztandarem, — ha, pod cieniem jego nawiąty tylko, — przy każdej sposobności. Nie doceniano nieraz tej ofiarności, marnowano najlepsze sily i okazje, to już jednak nie żołnierza była wina.

Kończy autor swą pracę wnioskami wysnutymi z całości. Nie waha się przed rozpatrzeniem twierdzenia, tak swego czasu niestety popularnego: „Tak czy owak, czylibyśmy walkę o niepodległość prowadzili, czy nie, wynik wojny światowej byłby wrócił Polsce wolność polityczną”, — z dalszemi, pochodnemi twierdzeniami: szko-

¹ Kpt. Antoni Szubert: artykuły w *Polsce Zbrojnej*, r. 1934, w dniach między 9. VI. (*Zapomniana mogiła*) a 27. VII. (szereg art. p. t. *Armia Polska we Włoszech*).

da krwi, energii etc. etc. I załatwia się z niemi zdecydowanie. Stwierdza, że walka zbrojna swój cel osiągnęła, zadanie swoje spełniła. Sami wywalczyliśmy swoją niepodległość, nim okoliczności złożyły się pomyślnie. Stworzyliśmy fakt dokonany. Dzięki sile wojskowej, tworzonej w czasie wojny światowej, staliśmy się stroną czynną, podmiotem prawa międzynarodowego.

Ale przede wszystkim nasza walka zbrojna o niepodległość ma kolosalne znaczenie moralne i wychowawcze dla całych pokoleń. Dzięki niej nastąpiła w Polsce potężna przemiana duchowa. Nauczaliśmy się być wolnymi i o wolność walczyć, a za nią umierać.

Na tle książki Waclawa Lipińskiego rzuciłem garść uwag. I to jest jeszcze jedna jej zaleta: pobudza do myślenia. I pobudzi zapewne do dalszych studiów nad tematami, które porusza, a których taki brak. Gleba, którą przeorał Lipiński, wyda napewno owoce.

Nie mogę w końcu nie podkreślić wartości omawianej książki jako podręcznika dla szkół naszych średnich i szkół wojskowych. Tu była ona konieczna i jest nie do zastąpienia.

R. W. HOROSZKIEWICZ

T E A T R

TEATR NOWY: *Łańcuch*, dramat Janiny Morawskiej w 4 aktach z prologiem.

Niedobra sztuka. Najgorzej jest, gdy autor nie chce się na nic „puścić”, gdy nie ma odwagi do własnego rozmachu. W *Łańcuchu* mamy rewę rozmaitych motywów z tego oskarżycielstwa społecznego, któremu nas dramaturgia lat ostatnich, zwłaszcza kobieca, traktowała. Odrazu mamy krąg więzienną, z poza której wygląda blada twarz kobiety, która zabiła — kogo? Główna męza, za to że ją zdradzał. Ojoj, ostro się teraz do nas biorą! Do niedawna kontentowały się równouprawianiem, teraz może nastąpi epoka teroru. Jakoś znowu Nałkowska zaczyna; w *Graniczy* oblewa się takiego nicponia „żrącym płynem”, dobrze mu tak, nielegalny dzieciórób musi być ukarany, znicz rodzinny znowu jest w modzie.

Skazanej bidulce odbiera się dziecko — niezem Gorgonowej. W akcie II wraca ona z Ameryki, wzbogacona, ale jej dziecko, córka, która tymczasem już poszła zamąż, potępia jej czyn, ho... jakże to... wogóle zabić człowieka... Coś jakby z *Dnia jego powrotu* Nałkowskiej, gdzie ojciec nie chce przebaczyć synowi, że zabił, nie że zabił tego lub owego, lecz że zabił wogóle — abstrakcyjne humanitarstwo.

Karta się odwraca; córka wbrew nowoczesnej umowie prywatnej, którą zawarła była ze swym mężem: że sobie dają wolność, — jest o niego zazdrosna, i ma do tego słuszne podstawy. Ona jest w ciąży a on chodzi do innej. Przyszła kryśka na Matyska; matka zabiła, czy córka zabije? Autorka sugeruje nam coś jakby dziedzictwo dyshonorable, — motyw biologiczny, znowu jakby z *Dnia jego powrotu*. Winszuję, gdyby taka rasa kobiet się rozmnożyła. Ale na szczęście widzę dziedzictwo bliższe — literackie.

Zamiast zajął się rzecz kończy się samobójstwem — bohaterki, która zapanowała nad sobą. Przerwała łańcuch fatalizmu? Zdobyła się na akt wolnej woli? Dobrze, coś nowego, ale i to nie otrzymuje odpowiedniego miejsca, wygląda na chwilowy kaprys autorski.

Tytuł *Łańcuch* dotyczy jednak zapewne innych ogniw. Matka zabiła. Córka chce zabić, ale jest jeszcze trzecia osoba zdecydowana: służąca Petronela, która kipi płonącą złością względem swego własnego męża, a przez to i mężów zdrójców wogóle; tę złość wywiera na mężu swojej pani i jego kochance, w ten sposób, że dosypuje im trucizny do herbaty; tę herbatę jednak wypija ostatecznie tylko własna pani Petroneli. *Łańcuch* przyczyn małych i wielkich? Czy raczej łańcuszek? Śmieszne jest to zbiegowisko żon (jędz?) zdradzonych na przestrzeni jednej sztuki.

Zaletą sztuki byłaby w tem, że jej sens nie narzuca się bezpośrednio, natarczywie; trzeba go otrzymać przez zestawienia, przez namysł. Ale to co się otrzymuje, nie ma wartości. Pewna dyskrekcja sztuki wynika z braku temperamentu autorskiego. Nic się w niej dostatecznie nie wyżywa. Jedyna scena przeprowadzona z napięciem jest scena rozmowy między matką, która się chce dać poznać, a córką, która nie ma intuicji i matki nie poznaje, natomiast prawi jej morały. Zdawałoby się, że autorka zakłada tutaj jakąś minę dramatyczną, która później wybuchnie sceną rozpoznania matki. Nic z tego, matka zaocznie umiera, a jej pamięć, złowrogość jej przykładu również nie jest wykorzystana. Nawet scena „szczerości” zaaranżowana przez bohaterkę w ostatnim akcie, gdzie ona mężowi i jego kochance rzuca prawdę w oczy i daje im *carte blanche*, — przechodzi bez efektu, ponieważ autorka

zapomniała wyposażyć także przeciwną stronę odpowiednim tupetem.

Najważniejszy brak jest ten sam co u Nałkowskiej (np. w *Nie dobrej miłości*): widać cierpienia i zazdrość, ale nie widać miłości. Nasze panie, mordujcie nas, ale nas wpraw kochajcie! Inaczej powiem: sadyzm, lub uzurpowanie sobie prawa, które może dać tylko prawdziwe uczucie, a nie dzika teoria teroru feministycznego.

Z gry zanotować wypada występ niezapomnianej jeszcze Solskiej w roli matki: zawsze ten sam głos wibrujący — tym razem trochę tremolando — ale wibrujący dogłębnym tragizmem, z jakichś dawnych niedoeksploatowanych pokładów prawdy, nie mających nic wspólnego z sztuką p. Morawskiej.

KAROL IRZYKOWSKI

*

KRAKOWSKIE „OTRZEŚINY”

W dniu 20 października Kraków cały zamienił się w scenę. Dekoracja była gotowa i w cudowny sposób dostosowana do średniowiecznego widowiska, które się na ulicach, placach i dziedzińcach Krakowa rozgrywało. Tu ciągnął pochód jakichś cudacznych masek, tam odbywał się średniowieczny jarmark, tu w turnieju kruszyli kopie zbrojni rycerze, tam znowu odziany w togi uniwersytet przyglądał się obrzędowi otrześin czyli *depositio beanorum*. Te otrześiny były gwoździem obchodów, one dały do uroczystości powód i pomysły.

Wiadomo, że *depositio beanorum* był to obrzęd, którym konfraternja zaków przyjmowała w swoje grono nowych przybyszów. To wtajemniczenie było oczywiście trochę dla wtajemniczonego przykre: polegało na obrzucaniu go wyzwiskami, odpilowywaniu mu symbolicznych rogów i (ufajmy także symbolicznych) zębów. Wszystko oczywiście kończyło się „fundą”. Ten stary obrzęd chciało wskrzesić Wojewódzkie Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży, oficjalny i tytularny impresario krakowskich uroczystości. Wykonawcami była uniwersytecka młodzież, której dopomagali krakowskie literaci. Wielkie zasługi położył tu sekretarz uniwersytetu dr. Reguła, pracą reżyserską zajmował się p. Dobrowolski, do świetności widowisk przyczynił się w dużej mierze p. Adam Polewka, aranżując i kierując wszystkim z pałaniem i znanstwem.

Widowiska te miały w sobie coś z przedstawień teatralnych, coś z miłego i charakterystycznego zamieszania przedstawień amatorskich i coś z popularnych uroczystości ulicznych.

Jaki był faktyczny bilans artystyczny tych imprez — trudno jednym słowem określić; przede wszystkim były one ciekawe i pouczające. Jeżeli było patrzeć na nie z punktu *fête populaire*, zabawy ulicy, to widziało się odrazu, że ten rodzaj zabawy jest u nas nowy. Urok takich ulicznych widowisk-zabaw, znany nam z włoskich i południowo-francuskich karnawałów i maskarad, polega na ogromnie żywym współdziałaniu ulicy. Nasza ulica bawić się nie umie i nie bawi się. Aktorzy grają, publiczność w ciemnych dystygnowanych paltotach jesiennych i jesiennych kapeluszach patrzy w milczeniu. Dla człowieka południa ulica jest miejscem zamieszkania, żyje na niej z upodobaniem, w prosty i żywiołowy sposób bawi się także na tej ulicy. Dla człowieka północy ulica jest środkiem komunikacyjnym. Od dzieciństwa uczą go, że na ulicy ma się zachowywać cicho i dyskretnie. Ma to swoje dobre strony. Minusy takiego „ustosunkowania” się naszego do ulicy występują jedynie przy tego rodzaju widowiskach „plein-airowych”.

To też krakowskie uroczystości trzeba rozpatrywać raczej z punktu teatralnego niż zabawowego i szukać w nich walorów ściśle widowiskowych. Otóż pod tym względem widowiska krakowskie wykazały naprzód ogromną doniosłość teatralnych kinkietów! Artystycznie i klasycznie rysowane stroje średniowieczne nie wytrzymały próby słońca... nie wytrzymały jej atlasy, brokaty i długie, po pachwiny sięgające pończochy...

Ale najważniejszym wnioskiem z tych widowisk była prawda mienowa i nieoryginalna, że w świat uludy przenosi nas nie strój, nie gra, nie obraz, lecz twórczość artysty, że w prawdę historycznej przeszłości patrzeć możemy właściwie tylko przez oczekiwkę sztuki, sztuki przez wielkie S. Jedynie artystyczne spojrzenie autora jest dla nas prawdą i pięknem i czarem widowiska, a nie innego tem wszystkim być nie może. Sceny otrześin, turnieju i t. d. były skomponowane z dużą troską o historyczną prawdę, teksty były autentyczne, sceny te były grane doskonale z werwą i życiem. Obrazy były malownicze, ale czegoś tu brakowało, brakowało artystycznego przetworzenia, brakowało właściwie poświęcenia autentyczności na rzecz stylizacji. W tych refleksjach utwierdzało widza porównanie między widowiskami dziennymi a wieczornym przedstawieniem *Kopernika* na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej. *Kopernik*

ten jest przeróbką sceniczną książki L. H. Morstina *Kłosa panny*, przeróbką zrobioną przez autora. Jest to przeróbka widowiska, trudno tego nawet nazwać sztuką, nie wytrzymałaby ona żadnej pod tym kątem „krytyki literackiej”. Jest to raczej szereg obrazów, żywych obrazów mówionych, ilustrowanych sceny z życia Kopernika; rzecz bardzo prosta, prawie prymitywna, ale może właśnie dlatego nadająca się wysmianie na tego rodzaju przedstawienie. Ze tak jak nam ukazano, wyglądały otrzęsiny — wątpić nie możemy; czy tak rozmawiał Kopernik z kardynałem, czy tak siedział w Rzymskiej winiarni — jest więcej niż wątpliwe, ale tak go widział autor i to nam wystarcza i właśnie to nas przekonywa. Sceny późnego średniowiecza, skomponowane artystycznie, oświetlone blaskiem reflektorów i tajemniczym światłem pochodni na tle majających w mroku arkad Jagiellońskiej Biblijoteki, wyglądały czarownie; taka np. scena w czarnej szacie odzianego Kopernika z purpurowym kardynałem to była doskonała kompozycja malarska. Młodzi adepci prawa, medycyny i filozofii okazali wielkie talenty aktorskie: grali z tą pewną, bardzo zresztą miłą nieporadnością „techniczno-aktorską”, wynagradzaną sówicie przez werwę, przejęcie, szczerotę i jakąś biorącą powagę. Nie wiem, czy oni to odczuwali, ale widzowie myśleli z wzruszeniem, że może wśród tych aktorów z Bożej łaski, grających sceny z życia wielkiego kolegi, znajdują się także przyszłe wielkości i sławy, że może znajdują się tacy, którzy kiedyś także ziemię pełną w przestrzeni kosmicznej, którzy będą słońca zatrzymywali i gwiazdy zapalać...

Jeżeli można odnosić się chłodno i obiektywnie do jakby absolutnego czy bezwzględnego rezultatu artystycznego krakowskich widowisk, to do całości tej pomysłowej imprezy należy się odnieść z największym uznaniem i wprost entuzjastycznie. Naprzód świadczy ona o wysoce kulturalnych zainteresowaniach i zamiłowaniach uniwersyteckiej młodzieży Krakowa, która włożyła w te widowiska i uroczystości olbrzymi wysiłek pracy i najpiękniejszego zapалу. Świadczy dalej także o kulturalnych zainteresowaniach publiczności, bo tłumy, które zalegały ulice Krakowa, były wprost imponujące. A prócz tego że imprezy krakowskie są cennym objawem dodatkich stron życia kulturalnego w Krakowie, mogą one mieć doniosłe znaczenie artystyczne. W czasach gdy w teatrze, jak zresztą wszędzie, szuka się stale „nowych dróg”, takie widowiska mogą być właśnie jedną z tych poszukiwanych dróg. Dokąd zaprowadzi ta droga — nie wiadomo, ale że wiedzie w przyszłość, nie ulega wątpliwości. Może to być droga do artystycznych teatrów regionalnych, może być droga do własnej oryginalnej komedji *dell'arte*, może — do zejścia teatru z teatralnych desek, do rozbudzenia w publiczności zamiłowań teatralnych. A o doniosłości tych imprez stanowi fakt, że właśnie nie były próbą celową, próbą ludzi fachowych i z obowiązku szukających, lecz że były odruchem spontanicznym młodzieży, która w ten sposób chciała się artystycznie wyżyć i w ten sposób bawić. To decyduje o świeżości i wartości tych przedstawień. Próba ta oryginalna i udana godna jest powtórzenia i naśladowania.

ZOFIA STAROWIEYSKA-MORSTINOWA

PLASTYKA

WYSTAWA W I. P. S.

Jasno, świeżo i barwnie było w sali prac Tymona Niesiołowskiego; zerwał on z dawnym swym teatralnym malarstwem i obecnie objawił się jako rasowy kolorysta. Kolor stał się dlań zagadnieniem centralnym chociaż nie jedynym, obok niego bowiem ważny jest sam przedmiot przedstawiony. Tutaj właśnie wysuwa się rozbieżność z kapistami — przy pozornym podobieństwie.

Niesiołowski nie pojmuje koloru abstrakcyjnie, jak tamta grupa, ale wiąże go z formą obiektów wyobrażonych, stanowiących poszczególne tony harmonji barw-



T. NIESIOŁOWSKI

Akt leżący



T. NIESIOŁOWSKI Czerwone maki

nej. Boddżem jest dla niego natura, jako niewyczerpane bogactwo możliwości; jej kontemplacja jest konieczna dla zachowania świeżości odczucia, jednak motywy czerpane z tego źródła zostają na drodze czysto intelektualnej dopełniane odpowiednimi elementami potrzebnymi do uzyskania kompozycji barwnej i przedmiotowej obrazu. Sama koncepcja obrazu powstaje niekiedy u Niesiołowskiego niezależnie od rzeczywistości, ale jej potwierdzenia szuka artysta w naturze.

Tymon Niesiołowski nie stawia sobie zresztą apriorystycznych założeń malarskich, powoduje się wyłącznie swą wrażliwością artystyczną i stąd jest duża różnorodność w jego obrazach i nierówność skali. Czasem traktuje swe obrazy dekoracyjnie płasko, nie wprowadza zagadnienia światła, lub interesuje się bryłą, oświetleniem; waha się i szuka swego wyrazu najbardziej mu odpowiadającego. Malarstwo jego nawiązuje do Matisse'a, Renoira oraz Bonnard'a, którego uwielbiają kapiści.



H. GRUNWALD

W obrazach Niesiołowskiego jest wielość form: przedmiotów i barw, arabeska dekoracyj, dzięki jednak dobremu opracowaniu obrazu w każdej jego części i przemyśleniu całości, wielość ta nie powoduje wrażenia tłoku i chaotycznego niepokoju. Harmonje barwne i dobór form są w obrazach Niesiołowskiego wyszukane.

Wyróżnia się obraz p. t. *Cyrk*: dwu kłownów, czarna i biała plama, na tle jasno niebieskim dywanu.

Obok olejnych prac są akwarele, rysunki tuszem o śmiałej, przerywanej linii, zakolorowane farbą.

Tymon Niesiołowski, adiunkt na Wydziale Sztuki U. S. B. w Wilnie, pracując od 30 lat, zmienia się stale i ewoluuje, i tej ostatniej fazy, którą reprezentuje pokaz, nie uważa za swą ostateczną. „Wszystkie obrazy należałyby właściwie przemalować — mówi artysta —; zacząłem się uczyć malować na nowo, może osiągnę kiedyś to, że będę z nich zadowolony”.

Henryk Grunwald dąży w swych rysunkach do osiągnięcia syntezy zjawiska odtworzanego, pomija szczegóły, uogólnia linię. Porzuca swą dawną ekspresyjność, stając się znacznie spokojniejszy. Operuje linią mocną lub lekką zależnie od charakteru człowieka, którego przedstawia. Stara się osiągnąć czystość tej linii, co zrealizowane zostaje najlepiej w suchorytach, w których linja nabiera tężyzny, brakujecej niekiedy w rysunkach.

Obok rysunków wystawił Grunwald obrazy olejne. Występują tu duże formy, trochę się rozpadające; mociuje się artysta z trudną gamą zieleni i zwycięsko wycho-

dzi z tej walki w dwu pejzażach. Martwe natury dobrze zharmonizowane przypominają o dawnych studjach artysty u Tichego.

W renesansie rzemiosła artystycznego u nas Grunwald zajmuje ważne miejsce. Bardzo interesująco przedstawiają się jego prace kute ręcznie w metalu. Drobiazgi nawet posiadają formę spokojną, monumentalną, przy równoczesnym osiągnięciu przez artystę różnorodności faktury powierzchni. Pod bezpośrednim dotknięciem ręki artysty — metal nabiera żywości, wyzbywa się monotonnej jednostajności, którą odznacza się wszelka produkcja maszynowa.

Wielką salę IPSu zajęła Grupa Artystów Plastyków Wielkopolskich „Plastyka”, której wystawa otwiera serię wystaw regionalnych, projektowanych przez Instytut Propagandy Sztuki. Pokaz ten najhologiej przedstawia się w dziale malarskim. Józef Ożmin wystawił dwie interesujące kompozycje religijne *Zwiastowanie* i *Zdjęcie z Krzyża* o dynamice barokowej, oraz szereg akwarel, wśród których wyróżniają się dzięki ciekawemu sposobowi malowania szkice na temat Bożego Narodzenia. Henryk Jackowski próbuje dowieść żywotności techniki witrażowej, dając kilka kompozycji temperowych, w tym najlepsza p. t. *Pieta. Męczeństwo Św. Wojciecha*, wykonane olejno przez tegoż artystę, jak również i prace na tematy religijne innych malarzy tej grupy, budzą poważne zastrzeżenia.



H. GRUNWALD

Obrazy Bronisława Bartla są dosyć różne jakościowo: obok kilku portretów, malowanych z zacięciem, zwracają uwagę monotypnie subtelną tonacją, natomiast kraj-obrazy morskie nudzą konwencjonalnością. Hieronim Malina wystawił kilka prześwietlonych kraj-obrazów i śmiały w ujęciu autoportret. Natomiast w *Oplakaniu Chrystusa* tegoż artysty przykro uderza manierystyczny sposób nakładania farby.

Łucji Ożminowej, której prace są niewątpliwie interesujące, można zarzucić brudny koloryt i jakby transponowanie zasad techniki akwarelowej na olej.

W dziale rzeźby pokazną pozycję zajmuje Władysław Marcinkowski, oraz Józef Wysocki, w którego kolekcji medali wyróżniają się niektóre, traktowane płasko (np. nadzwyczajnie subtelny w technice medal Czackiego).

Artystyczne drobiazgi z brązu, figurki świętych oraz zwierząt wystawił Feliks Szymt. Posiadają one smak czegoś jedynego w swym rodzaju, niepowtarzalnego, model bowiem woskowy, z którego dokonano odlewów — roztapia się i ginie. Forma tych prac jest różna, przewijają się ujęcia naturalistyczne (zwierzęta na krawędzi marmurowych popielniczek), barokowe (np. *Adam i Ewa*), echa prymitywizmu dalekiego schodu i naszej ludowości. W tych ostatnich forma wylamuje się z właściwości materiału, przypominając glinę; w zbiorze tych prac wyróżnia się popielniczka, cała z brązu, jako najbardziej zwarta i związana.

Kilimy Anieli Hahnowej i Henryki Izydorkówny grzeszą nieliczeniem się z założeniami materiału; zbyt wiele w nich jest motywów wypukło plastycznych, jakby nałożonych, a nie utkanych.

Prócz wymienionych artystów wystawili jeszcze swe prace w tej grupie: Eichlerowa, Hannwtkiewicz, Mroziński, Roguski, Turwid, Wałkowski, Wroniecki, Kaim, Kwilecki, Repeta i Triehler.

Osobną salę zajęli swymi pracami Józef Czajkowski, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA



J. WYSOCKI

Kasprowicz

PRZEGLĄD PRASY

POCIESZAJĄCE ZJAWISKO. Coraz częściej można obecnie w polskiej prasie literackiej znajdować przekłady z poetów niemieckich. Dziwnym zjawiskiem było dotychczasowe zaniedbanie poezji niemieckiej, szczególnie ostatnich lat XIX i początku XX wieku, bo przecież, żęby nie wymieniac więcej nazwisk, poezję niemiecką reprezentowali tak genialni pisarze jak S. George i Rainer Maria Rilke, którzy na tle europejskiej kultury odcinają się bardzo plastycznymi i oryginalnymi profilami. Zjawiały się cpoprawda raz po raz przekłady W. Hulewicza (Rilke) i Iwaszkiewicza (George), ale niemniej nie mogły one zwrócić uwagi na istnienie wspaniałej poezji niemieckiej, bo było ich zbyt mało i ukazywały się stosunkowo rzadko. Nie orientujący się w kulturze europejskiej czytelnik sądził, że wyłącznie Rosja, po niej zaś Francja mają bogatą lirykę, podczas gdy Niemcy nie stanowią specjalnie wartościowej pozycji w obecnej poezji europejskiej. Oczywiście, że sąd taki jest całkowicie mylny. Poeci niemieccy, przynajmniej najwięksi z nich, nie są tak krzykliwi jak poeci rosyjscy, ani tak sztuczni, jak poeci Francji, w której roi się od najrozmaitszych „izmów” — nie jest to jednak dostateczna przyczyna, żeby o nich zapominać, tem więcej, że brak krzykliwości i „nowoczesności” wynagradzają walorami istotniejszemi. Wogóle znajomość nasza kultury niemieckiej jest niesłychanie powierzchowna: pojęcia nasze o kulturze niemieckiej są tak uproszczone, że mogłyby wzbudzić tylko uśmiech politowania na ustach kulturalnego Europejczyka. Utworzył się przesąd, że kultura niemiecka jest „mudna”, „szkolarska”, „pedantyczna”. Wiara w ten naiwny i ośmieszający nas przesąd uwalniała nas dotychczas od obowiązku zapoznawania się z twórczością kulturalną Niemiec. Wystarczyły nam wiadomości polityczne, mniej lub więcej przez prasę codzienną zniekształcone — wszystko inne było już nudne. Należałoby sobie życzyć, żeby przekłady z poezji niemieckiej były coraz liczniejsze; nietylko zresztą przekłady z poezji. Kultura niemiecka zasługuje na to, żeby ją do głębi poznać. Bajki o nudzie, pedantyzmie powinny narzecie przejść do lamusa. — W nr. 42 *Tygu. Ilustrowanego* przekłady z liryki niemieckiej (St. George, H. von Hofmannsthal, Rainer Maria Rilke) umieszcil Leopold Lewin. W nr. 7 *Okolicy poetów* St. Nanierski i L. Lewin (Max Neisse, Georg Trakl, Rainer M. Rilke).

W. BAK

KRONIKA

ODZNACZENIA
WAURZYNYEM AKADEMICKIM.

Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zarządzeniem z dnia 5 listopada 1935 r. Nr. BP-24435 nadał na wniosek Polskiej Akademii Literatury pierwsze odznaczenia *Wawrzyńnem Akademickim* osobom wybitnie zasłużonym dla dobrej literatury polskiej oraz związanym z nią innych dziedzin twórczości.

Złoty Wawrzyń Akademicki nadano następującym osobom:

Za wybitną twórczość literacką:

Zygmuntowi Bartkiewiczowi, literatowi, Dr. Wacławowi Borowemu, literatowi, Marji Dąbrowskiej, literatce, Ferdynandowi Gołłowi, literatowi, Arturowi Górskiemu, literatowi, Kazimierze Hłakowiczównie, literatce, Alfredowi Konarowie, literatowi, Janowi Lechonowi, literatowi, Kornewi Makuszyńskiemu, literatowi, Stanisławowi Miłaszewskiemu, literatowi, Ostapowi Ortwinowi, literatowi, Marji Pawlikowskiej, literatce, Marji Rodziewiczównie, literatce, Józefowi Rufferowi, literatowi, Aleksandrowi Świętochowskemu, literatowi, Julianowi Tuwimowi, literatowi, Marji Wielopolskiej, literatce, Kazimierzowi Wierzyńskiemu, literatowi, Stanisławowi Witkiewiczowi, literatowi, Emilowi Zegadłowiczowi, literatowi.

Za wybitną twórczość krytyczno-literacką, naukową i publicystyczną w dziedzinie literatury pięknej:

Aleksandrowi Brückerowowi, prof. uniwersytetu, Romanowi Dyboskiemu, prow. uniw., Janowi Lorentowiczowi, krytykowi teatr., Junowi Gwałbertowi Pawlikowskiemu, b. prof. uniw., Edwardowi Porębowiczowi, prof. uniw., Antoniemu Potockiemu, krytykowi liter., Arturowi Słowińskiemu, senatorowi, Wojciechowi Spiczyskiemu, dziennikarzowi, Józefowi Ujejskiemu, prof. uniw.

Za wybitne zasługi dla dobrej literatury polskiej:

Bernardowi Chrzanowskiemu, b. kuratorowi okręgu szkolnego, Stefanowi Dembem, dyr. Bibl. Narod. J. Piłsudskiego, Marji Jaworskiej, wiz. szkół, Aleksandrowi Patkowskiemu, radcy Min. W. R. i O. P., Helenie Radlińskiej, prof. Wolnej Wszechnicy Polskiej, Felicjanowi Sławoj-Składkowskiemu, gen. bryg., Wiceministrowi Spraw Wojsk., Jakóbowi Wojciechowskiemu, robotnikowi, Kazimierzowi Wóycickiemu, historykowi literatury, Władysławowi Zawistowskiemu, nacz. wydz. Min. W. R. i O. P., Lucjanowi Żeligowskiemu, gen. broni.

LAUREACI NAGRÓD M. WARSZAWY 1935 R.



Jan Łukasiewicz



Karol Szymanowski



Alfons Karny



Pola Gojawiczyńska

Za wybitne zasługi dla polskiej sztuki wogóle:

Ksaweremu Dunikowskiemu, artyście rzeźbiarzowi, Henrykowi Kunie, artyście rzeźbiarzowi, Józefowi Mehofferowi, artyście mal., Eugeniuszowi Morawskiemu, rektorowi Państw. Konserw. Muz., Zdzisławowi Męczeniowskiemu, architektowi, Tadeuszowi Pruszkowskiemu, rektorowi Akad. Szt. Pięk., Czesławowi Przybylskiemu, architektowi, Karolowi Szymanowskiemu, kompozytorowi, Leonowi Wyczółkowskiemu, artyście mal.

Za krasomówstwo:

Ignacemu Daszyńskiemu, działaczowi politycznemu, Bogusławowi Miedzińskiemu, wicemarszałkowi Sejmu, Ignacemu Paderewskiemu, muzykowi, Kazimierzowi Sosnkowskiemu, gen. dyw.

Za krasomówstwo sądowe:

Mieczysławowi Ettingerowi, adwokatowi, Franciszkowi Paschalskiemu, adw., Stanisławowi Patkowi, adw., Kazimierzowi Rudnickiemu, prok. Sądu Apelacyjnego.

Za szerzenie zamilowania do polskiej literatury dramatycznej:

Karolowi Fryczowi, dyr. teatru, Stefanowi Jarczowskiemu, artyście dram., Leonowi Schillerowi, reżyserowi teatru, Ludwikowi Solkowiemu, art. dram., Kazimierzowi Junosza-Stępkowskiemu, art. dram., Arnoldowi Szymanowskiemu, dyr. teatru, Stanisławowi Wysokiej, art. dram.

Srebrny Wawrzyn Akademicki nadano następującym osobom:**Za wybitną działalność organizacyjną w dziedzinie literatury pięknej:**

Jadwidze Beckowej, ministrowej, Witoldowi Hulewiczowi, kier. wyd. liter. Pol. Radja, Dr. Zenonowi Kosidowskiemu, dyr. Pol. Radja w Poznaniu, Edwardowi Kozikowskiemu, sekretarzowi Zw. Zaw. Lit. Pol. w W-wie, Michałowi Rusinkowi, radcy Min. W. R. i O. P.

Za szerzenie zamilowania do literatury polskiej:

Wiktorowi Ambroziewiczowi, dyr. gimn., Dr. Juliuszowi Balińskiemu, nac. wyd. w Min. W. R. i O. P., Franciszkowi Biedroniowi, kier. szk. powszechn., Dr. Janowi Biłkowi, dyr. Wyd. O. w. i Kult. Zarz. m. Warszawy, Franciszkowi Brzezińskiemu, naucz. szkoły powsz., Halinie Brzostkównie, działaczce społecznej, Henrykowi Cepnikowi, dziennikarzowi, Michałowi Chudybie, kier. szk. powsz., Jędrzejowi Cierniakowi, min. wiz. szkół, Wacławowi Czarskiemu, dziennikarzowi, Adamowi Czartkowskiemu, naucz. szkół średnich, Wandzie Dobaczewskiej, literatce, Dr. Tadeuszowi Dobrowolskiemu, dyr. muzeum, Władysławowi Dunorowskiemu, naucz. szk. powsz., Janinie Dynakowskiej, naucz. szkoły powsz., Klemensowi Frelkowi, wicedyr. Wyd. O. w. i Kult. Zarz. m. Warszawy, Henrykowi Gallemu, naucz. szkół średnich, Bernardowi Grausickiemu, naucz. szk. powsz., Kazimierzowi Henrykowi Groszyńskiemu, naucz. szkół średnich, Emanuelowi Imieli, urzędnikowi państw., Dr. Aleksandrowi Hertzowi, pedagogowi, Hugo Kaufmanowi, min. wiz. szkół, Paulinie Kleszczyńskiej, właścicielce dóbr, Alojzemu Komandorowi, inspekt. szkolnemu, Dr. Kazimierzowi Kosińskiemu, poloniście, Janowi Kowalczykowi, dziennikarzowi, Kazimierzowi Królówi, naucz. szkół średnich, Dionizemu Królikowskiemu, dziennikarzowi, Aleksandrowi Książkowi, dyr. gimn., Dr. Stanisławowi Lorentzowi, konserwatorowi, Henrykowi Lukrecowi, dziennikarzowi, Dr. Stanisławowi Lempickiemu, prof. uniwersytetu, Jerzemu Konradowi Maciejewskiemu, dziennikarzowi, Karolowi Makuchowi, dyr. Państw. Inst. Nauk., Dr. Jadwidze Mazurowej, działaczce spo-

lecznej, Stanisławowi Maykowskiemu, naucz. szkół średnich, Dr. Aleksandrowi Maykowskiemu, redaktorowi, Tadeuszowi Mayznerowi, radcy Min. W. R. i O. P., Stanisławowi Mercikowi, dyr. gimnazjum, Bertoldowi Merwinowi, dziennikarzowi, Jadwidze Michałowskiej, min. wiz. szkół, Annie Millakowej, przewodn. wyd. Ośw. Pol. Białego Krzyża, Annie Nałkowskiej, działaczce społecznej, Józefowi Obuchowskiemu, naucz. szkół średnich, Helenie Romer-Ochenkowskiej, literatce, Mieczysławowi Opalkowi, kier. szk. powsz., Dr. Stefanowi Papée, poloniście, Dr. Tadeuszowi Pasierbińskiemu, naucz. szkół średnich, Dr. Leonowi Płoszewskiemu, naucz. szkół średnich, Dr. Hannie Pohoskiej, docentowi uniwersytetu, Franciszkowi Popiołkowi, b. dyr. gimn., Irenie Posseltównie, przełoż. gimnaz., Kazimierze Rychterównie, recytatorce, Janowi Rzewnickiemu, inżynierowi, Anieli Samotyhowej, naucz. szkół średnich, Erazmowi Samotyśze, naucz. szkół średnich, Pawłowi Sosnowskiemu, em. dyr. Inst. Pedagog. w Warszawie, Eugenji Staniewiczowej, dyr. gimn., Kazimierzowi Staszewskiemu, kier. szkoły powsz., Dr. Ludwikowi Stolarzewiczowi, naucz. szkół średnich, Marji Strońskiej, naucz. szkół średnich, Dr. Bogdanowi Suchodolskiemu, doc. uniw. J. Piłsudskiego, Ludwikowi Szczepańskiemu, dziennikarzowi, Marji Znatowicz-Szczepańskiej, działaczce społecznej, Dr. Zofji Szmydowej, docentowi uniw. J. Piłsudskiego, Mieczysławowi Szurmiakowi, kier. szkoły powsz., Dr. Władysławowi Szyzkowskiemu, instr. Min. W. R. i O. P., Dr. Stanisławowi Tyncowi, doc. uniw. Poznańskiego, Marjanowi Urbanowiczowi, naucz. szkoły powsz., Zofji Urbanowskiej, właścicielce realności, Dr. Henrykowi Zyczyńskiemu, doc. uniw.

Za szerzenie zamilowania do literatury polskiej i krzewienie czytelnictwa w wojsku:

Otonowi Laskowskiemu, maj. W. P., Mieczysławowi Lepeckiemu, mjr. W. P., Wacławowi Lipińskiemu, mjr. W. P., Mieczysławowi Pęczkowskiemu, mjr. W. P., Marjanowi Porwitowi, mjr. W. P., Stanisławowi Thunowi, mjr. W. P., Ryszardowi Jamka-Koperskiemu, kpt. W. P., Adamowi Kowalskiemu, kpt. W. P., Józefowi Rosowskiemu, kpt. W. P., Michałowi Steinerowi,

kpt. W. P., Antoniemu Szubertowi, kpt. W. P., Jerzemu Ciepiewskiemu, por. W. P.

Za krzewienie czytelnictwa:

Lucjanowi Balcerowskiemu, naucz. szkoły powsz., Dr. Ludwikowi Bernackiemu, dyr. Zakł. Narod. im. Ossolińskich, Franciszkowi Biesiadeckiemu, ziemianinowi, Henrykowi Błażewskiemu, urz. Kur. O. S. we Lwowie, Bazylemu Chabiniowi, naucz. szkoły powsz., Dr. Lucji Charewiczowej, kustoszowi Muz. Historycznego m. Lwowa, Paulinie Dadlezowej, działaczce społecznej, Wandzie Dąbrowskiej, kier. Poradni Bibliotecznej, Dr. Ernestowi Farnikowi, naucz. szkół średnich, Janowi Fiali, kier. szkoły powsz., Michałowi Gliwczynskiemu, naucz. szkoły powsz., Józefowi Górniczowi, kier. szkoły powsz., Ks. dr. Emanuelowi Grimowi, Katarzynie Grodeckiej, działaczce społecznej, Jakóbowi Hoffmanowi, naucz. szkoły powsz., Helenie Iwanowskiej, kier. szkoły powsz., Janowi Karnowskiemu, sędziemu Sądu Okręgowego, Stanisławowi Kowalskiemu, kier. szkoły powsz., Julji Kratkowskiej, naucz. szk. średnich, Antoniemu Kuźniarskiemu, rolnikowi, Janowi Laskowskiemu, dyr. gimn., Bronisławowi Laskownickiemu, redaktorowi, Edmundowi Musojadzie, urz. Kur. O. S. Brzeskiego, Edmundowi Massalskiemu, naucz. szkół średnich, Stanisławowi Matuszewskiemu, burmistrzowi m. Bucza, Zygmuntowi Mocarskiemu, bibliotekarzowi, Janowi Muszkowskiemu, bibliotekarzowi, Antoniemu Orszaghowi, ziemianinowi, Janowi Ostrowskiemu, naucz. szk. powsz., Piotrowi Pampuchowi, em. dyr. Biura Sejnu Śląskiego, Bolesławowi Partyce, powiatowemu instr. pożarniczemu, Michałowi Pieszce, naucz. szkół średnich, Władysławowi Praweckiemu, kier. szkoły powsz., Józefowi Przesalskiemu, sędziemu grodzkiemu, Marji Ranieckiej, działaczce społecznej, Marji Rörichowej, kier. wyd. ośw. Pol. Biał. Krzyża, Felcji Rymarkiewiczowej, działaczce społecznej, Franciszkowi Sedlaczkowi, instr. ośw. pozaszk. O. S. Lwowskiego, Józefowi Sleszyńskiemu, instr. woj. Pow. Zakł. Ub. Wzaj., Wojciechowi Sosińskiemu, działaczowi społecznemu, Adamowi Stöfelowi, naucz. szkół średnich, Wacławowi Szmagierowi, dziennikarzowi, Ks. dr. Emilowi Szramkowi, Prof. dr. Stefanowi Truchimowi, min. wiz.

szkół, Dr. Kazimierzowi Tyszkowskiemu, kustoszowi Zakł. Narod. im. Ossolińskich, Dr. Stefanowi Uhmie, dyr. Miejsk. Kasy Oszez. we Lwowie, Leonardowi Walawskiemu, kier. szkoły powsz., Stanisławowi Wallisowi, urz. państw., Janowi Wantule, pracownikowi hutnicznemu, Dr. Władysławowi Wisłockiemu, kustoszowi Zakł. Narod. im. Ossolińskich, Adamowi Wojtkowskiemu, dyr. bibl. Raczyńskich, Ks. Franciszkowi Zhanuszkowi, proboszczowi.

Za wybitną działalność wydawniczą w dziedzinie literatury polskiej:

Marjanowi Kisterowi, księgarzowi i wydawcy, Janinie Mortkowiczowej, właścicielce księgarni, Bernardowi Połonieckiemu, księgarzowi i wydawcy, Wacławowi Eustachemu Szlązkowi, księgarzowi i wydawcy, Napoleonowi Tellewi, właścicielowi drukarni, Gustawowi Wolffowi, księgarzowi i wydawcy.

Za zasługi dla polskiej sceny:

Wandzie Barszczewskiej, artystce dram., Antoniemu Bednarzykowi, art. dram., Konstancji Bednarzewskiej, art. dram., Bronisławie Lenk-Janikowskiej, sulerce, Lucynie Kotarbińskiej, wdowie po dyrektorze teatru, Honoracie Leszczyńskiej, art. dram., Bronisławowi Nieszporkowi, sulerowi, Mieczysławowi Szpakiewiczowi, dyr. teatru, Nunie Szczurkiewiczowej, art. dram., Franciszkowi Wysockiemu, art. dram.

Za kult słowa polskiego w zawodzie adwokackim:

Emilowi Breiterowi, adwokatowi, Tadeuszowi Dwernickiemu, adwokatowi, Stanisławowi Jezierskiemu, adwokatowi, Jerzemu Krzywickiemu, adwokatowi, Zdzisławowi Kwiecińskiemu, adwokatowi, Romanowi Kuratowskiemu, adwokatowi, Bronisławowi Michalewskiemu, adwokatowi, Michałowi Skoczyskiemu, adwokatowi, Józefowi Woźniakowskiemu, adwokatowi.

Za szerzenie zamilowania do literatury ojczystej wśród emigracji:

Dr. Ludwikowi Bronarskiemu, muzykowi, Edwardowi Crosowi, prof. uniw., Marcinowi Draganowi, naucz. szkół średnich, Zygmuntowi Dybowskiemu, publicyście, Dr. Pawłowi Foxowi, pedagogowi, Mieczysławowi Haimanowi, dziennikarzowi, Ks. Wacławowi Kruszcze, proboszczowi, Julianowi Krzyżanowskiemu, prof. uniw., Pawłowi Kurdzielowi, dziennikarzowi, Eleonorze Ledbeter, bibliotekarce, Stefanowi Mierzwie, Bronisławie Mońkiewiczównie, kustoszowi muzeum, Stanisławowi Nowakowi, dyr. chórów, Januszowi Ostrowskiemu, dziennikarzowi, Władysławowi Pniewskiemu, naucz. szkół średnich, Marji Ratuł-Rakowskiej, tłumaczce, Tomaszowi Siemradzkiemu, prof., Dr. Józefowi Teslarowi, tłumaczowi.

Jednocześnie z nadaniem odznaczeń ukazało się zarządzenie Ministra W. R. i O. P., postanawiające, że mianowanie członkiem Polskiej Akademji Literatury oraz nadanie godności honorowej w P. A. L. stanowi zarazem nadanie odznaczenia Złoty Wawrzyn Akademicki.

Odznaka Wawrzyn Akademicki przedstawia się jako sześcioramienny krzyż stylizowany, oparty na tych samych motywach co Gwiazda P. A. L. W środku krzyża znajduje się pole eliptyczne z emalją i literami A. L. pośrodku. Złoty i srebrny Wawrzyn Akademicki noszony będzie podobnie jak i inne odznaczenia państwowe na wstędze. Dla obu grup odznaczenia ustalono wstęgę koloru zielonego z białymi paskami po bokach.

Wszystkim odznaczonym pisarzom, którzy współpracują w Pionie, składa redakcja Pionu szczere i serdeczne gratulacje.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie wraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł.; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.